

Komuda Jacek

Nobille Verbum

Z „Nowa Fantastyka” nr 8(251) – sierpień 2003

CASTRUM DOLORIS

To był pogrzeb wielkiego pana. Setki świec rozświetlały wnętrze kościoła. Cienie przemykały wzdłuż kolumn, kryły się za pilastrami. Migocące płomienie wydobywały z mroku zarysy kamiennych epitafiów, nagrobków i posągów. Przydawały blasku portretom i rzeźbom. Obrazom ukazującym dumnych mężczyzn i piękne, wyniosłe kobiety. Aniołom, wspartym na alabastrowych zdobieniach i kamiennym czaszkom. Oświetlały płaskorzeźbę ze szlachcicem w żupanie z pętlcami, wspierającego się pod bok prawą ręką. Lewą podawał śmierci, która zapraszała go w tany.

Kościół pełen był szlachty, mieszczan i czeladzi. Ściany obite czarnym suknem tłumiły echa. Ośmiu hajduków w czarnych żupanach, przepasanych litymi pasami ze złotogłowiu, niosło do ołtarza drewnianą trumnę okrytą czerwoną materią. Z boków szli członkowie bractwa ze świecami w dłoniach. Głowy ukryli w kapturach. Zawodzili cicho pogrzebową pieśń. Z tyłu podążali słudzy w deliach i kaftanach niosąc złotą buławę, rząd koński, szablę, kałkan i kamienną tarczę herbową.

To był prosty herb. Podkowa i dwa krzyże. Lubicz.

Za sługami postępowała szlachta. Jaśniały podgolone łby panów braci, czerniały sumiaste wąsy, delie i ferezje, wilcze i niedźwiedzie kołnierze, żółte i karmazynowe barwy żupanów.

Dwaj starzy słudzy podtrzymywali młodą kobietę w czerni. Potknęła się, trafiając nogą na szczelinę w kamiennej posadzce, a jednak postępowała dalej ku ołtarzowi wyprostowana. Jeden ze szlachciców wyciągnął dłoń, by jej pomóc, odepchnęła rękę gwałtownym gestem.

Trumna spoczęła w strzelistym *castrum doloris* - na katafalku otoczonym rzeźbionymi łbami ortów i wilków. Wysokie antyczne kolumny wznosiły się nad postumentem tworząc łuk okryty czarnym kirem. Dwaj aniołowie stykali się skrzydłami, a światło świec migotało na ich twarzach.

Gdy powiał wiatr, wystrzeliły w górę i zachwiały się płomienie. Cienie na białej ścianie ułożyły się na chwilę w zarys sylwetki jeźdźca w rozwianym płaszczu na stającym dęba koniu.

Hajdacy odstąpili, odsłaniając przybity do wieka portret trumienny. Kasztelan Ligęza.

To był wyniosły szlachcic z długą, siwą brodą i błyszczącymi gniewem oczyma. Jego oblicze zdobiło kilka blizn wyniesionych z bitwy. Nawet po śmierci spoglądał na świat ognistym wzrokiem. Nikt i nic nie mogło ująć jego uwadze.

Członkowie bractwa śpiewali. Ich głosy brzmiały smutno i żałobnie pod wysokim sklepieniem. Ścisiali głosy powoli, delikatnie, aż wreszcie zapadła cisza przerywana dalekim zawrotem wiatru.

Chrapanie konia, łoskot kopyt...

Jeden z ministrantów rozejrzał się trwożliwie. Nie, zdawało mu się. W kościele panowała cisza. Przed *castrum doloris* wystąpił siwy ksiądz.

- Panie kasztelanie Ligęzo!

Wiatr zawył dokoła kościoła. W bocznej nawie huknęły niedomknięte okiennice.

- Panie kasztelanie Ligęzo - powtórzył głośno duchowny. - Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. Przychodzisz do Pana Naszego nie w delii karmazynowej i na koniu z rzędem, nie z szablą i w zbroi błyszczącej, lecz nagi i bezbronny. Oto zakończyłeś tułaczkę życia swego, porzuciłeś godności, splendory i urzędy. Za wszystkie grzechy odpokutujesz, a ród twój nigdy już do chwały nie będzie powołany.

Kamienna tarcza z herbem Lubicz upadła z łoskotem na posadzkę. Pękła na trzy części; jej okruchy rozsypały się przed *castrum doloris*. Z trumiennego wieka, z sześciokątnego portretu patrzyła na nie twarz kasztelana halickiego Janusza Ligęzy, starosty braclawskiego, dolińskiego, kąskiego, dynowskiego, biłgorajskiego, mereczyckiego...

Buława padła z hukiem na posadzkę przed trumną. Po niej upadł kałkan. Potem żelazna tarcza, rząd koński, pałasz, rapier. Wysoki hajduk podniósł nad głową karabelę. Szybkim ruchem złamał ją wpół i cisnął przed oblicze martwego kasztelana.

Było tak cicho, że wszyscy słyszeli skwierczenie świec. Ksiądz odstał od trumny. Światła przygasły. Nagle rozbrzmiały końskie kopyta. Łoskot zbliżał się, potężniał. Wreszcie zabrzmiał pod samymi wrotami świątyni. A wówczas wszyscy powoli, jak we śnie odwrócili się w stronę wejścia.

Pomiędzy kolumnami stał wielki kary koń o ognistych oczach. Dosiadał go ogromny jeździec w czarnej zbroi i porwanym płaszczu. W rękę trzymał czarną szablę.

Jeździec ruszył. Koń szedł stępą chrapiąc głośno, rżąc i bocząc się. Podkowy uderzały miarowo o posadzkę, wywołując pod sklepieniem grzmiące echa, budząc dreszcz przerażenia. Nikt nie śmiał drgnąć, nikt nie śmiał się poruszyć... Aż wreszcie jeden z hajduków zadrżał. Wpatrywał się w jeźdźca, a jego ręka sama sięgnęła do opartego o ścianę półhaka...

Koń ruszył skokiem. W huraganowym pędzie pomknął do ołtarza, krzesząc iskry. Gdy wpadł do lepiej oświetlonej części świątyni, na szmelcowanej zbroi jeźdźca zabłysły błękitne lilie. Rumak skoczył ku *castrum doloris*, jeździec osadził go przed trumną, stanął w strzemionach i ciął w portret trumienny kasztelana. Cios był potężny. Łatwo oderwał blachę od wieka i rzucił w kąt, prosto w ciemną czelusć krypty. Jeździec potoczył wzrokiem po obecnych. Nikt nie widział jego twarzy ukrytej pod ciężką przyłbicą niemieckiego hełmu.

- Czart! Diabeł! - ozwały się wrzaski z ław. - Czarny jeździec!

- Górze nam!

- Brać go! Brać go!

W nawach i za ławami załśniły błyski pistoletów i samopałów. Huk wystrzałów ozwał się grzmotem. Kule zagwizdały wokół czarnego jeźdźca. Okrzyki i jęki buchnęły w górę, a tupot stóp zmieszał się z brzękiem broni. Od głównej nawy pędzili już hajducy z szablami, czeladź z włóczniami i halabardami. Od strony kaplic załomotały podkute buty szlacheckich panów braci, zabłysły obnażone szable i pałasze. Kto żyw pędził do ołtarza.

- Dalej, otoczyć, go! Brać czarta! Na pohybel!

Nadbiegający hajduk kasztelana pchnął w brzuch konia partyzanę. Kary rumak zatańczył na zadnich nogach, obrócił się w miejscu unikając ataku. A potem skoczył w przód obalając przeciwnika. Czarna szabla jeźdźca opadła ze świstem i rozrąbała pierwszą głowę. Koń zarżał głośno, a potem rzucił się w wir walki. Jeździec zwrócił go w lewo. Szybko jak błyskawica obrócił szablę piórem w dół, odbił cięcie wymierzone w bok konia, a potem chłasnął przeciwnika po szyi. Szlachcic w żółtym żupanie zacharzał, padł na posadzkę, wprost pod kopyta, a koń stratował go i skoczył, roztrącając stojących najbliższych.

Jeździec pochylał się w siodle. Rozdawał ciosy z szybkością błyskawicy. Wrogowie cisnęli się zewsząd, chcąc go otoczyć, przyprzeć do muru, trafić ostrzami rohatyn. Lecz on nie dawał do siebie dostępu. Niewrażliwy w zbroi na ciosy, pędził jak wichur po posadzce roznosząc śmierć i zniszczenie.



Młody pachołek chwycił go za lewy naramiennik, uwiesił się na nim, chcąc ściągnąć z siodła. Lecz czarny jeździec pchnął szablą pod pachą i wbił chłopcu ostrze prosto w serce.

Starszy sługa wznosił arkebuz do strzału. Czarny jeździec dopadł go, nim kurek spadł na panewkę i szybkim cięciem pozbawił życia. Opadająca rusznica wypaliła w powietrze, kula pomknęła w mrok, trafiła skrzydło anioła, odłupała je, strąciła na posadzkę.

Szlachta, hajducy i łyczki rozbiegli się w panice. Czarny jeździec obrócił się, w szale szukając przeciwnika. I znalazł go! Od strony kaplicy szedł nań ksiądz z krzyżem i kropidłem.

- Duchu nieczysty, diable wcielony! Zgiń, przepadnij! Ksiądz chlusnął wodą święconą na jeźdźca. Lecz kary koń stanął dęba, uderzył kopytami duchownego, a ten padł w tył, rąbnął głową o ozdobny pilaster, osunął się na ziemię. Krew trysnęła na marmury, na epitafia i żałobne chorągwie.

Koń cofnął się, rżąc i kwicząc. Wpadł tyłem na trumnę, zepchnął ją z katafalku, uderzył w świece, przewrócił je z traskiem. Lekkie draperie i ciężkie aksamity zajęły się od razu. Płomienie strzeliły w górę. Podniosły się aż pod sufit, zahuczały...

Jeździec zwrócił konia ku ławom. W kościele zapanował chaos. Wszyscy krzyczeli, uciekali lub chwytali za broń. Draperie i obicia zajmowały się coraz jaśniejszymi płomieniami.

Czarny jeździec skoczył w tłum, przewracając z hukiem ławy. Stary szlachcic wymierzył mu wprost w piersi. Lecz choć skałka skrzesła iskry... pistolet nie wypalił! Jeździec ciął szablą, a starzec cofnął się, wpadł z krzykiem w otwartą czeluść katakumb i stoczył się po schodach w głąb krypty.

Ogromny rumak przewrócił z hukiem ławy, obalił uciekających ludzi, a potem zarżał, wstrzymany silną ręką.

Zatrzymali się przed smukłą postacią odzianą w czerni.

Niewiasta podniosła wzrok. W jej oczach był gniew, potem lęk, a na końcu przerażenie. Z tyłu przy ołtarzu buchnęły piekielne ognie. Strzeliły wysoko, przedostały się przez okna i zachłannie zajęły dach absydy. Płomienie rozprzestrzeniały się szybko, ogień strzelił w górę słupami.

- Gore! Gore! - ozwały się okrzyki. Kto żyw rzucił się do ucieczki. W panice wyważono drzwi do bocznych naw. Fala uciekających poczęła przepychać się do wyjścia, tratując i deptając leżących.

Niewiasta krzyknęła ze strachu, Odwróciła się, zaczęła biec. Czarny jeździec dopadł ją w dwóch susach. Przechylił się w siodle, puścił szablę na temblak, chwycił uciekającą w pół i podniósł z ziemi. Przerzuciwszy dziewczynę przez przedni łęk kulbaki, ruszył galopem do wyjścia.

Był blisko drzwi, może o krok od wyjścia. Za sobą miał zniszczenie i lunę pożaru. Przed sobą - drogę do wolności.

Przeskoczył przez otwarte wrota i wypadł na zewnątrz. Wstrzymał konia. W rozwartej bramie kościelnej stał biały dzianet. Zagradzał drogę. W husarskiej kulbace siedział szlachcic w wysokim kołpaku i delii narzuconej na koleczku.



Pod szubienicą

Szli przez mrok, nie widząc swoich twarzy. Noc była ciepła, duszna i ciemna. Z łąk i moczarów podnosiła się gęsta mgła, spływała po zboczach, gęstniała w wykrotach i wąwozach,

Kasztelanie władczy ruchem przyciągnął do siebie dziewczkę. Szarpnął guzy, rozerwał zapięcie kontusika, brutalnie rozchylił gorset i chwycił nagie piersi Nastki. Pisnęła i odskoczyła, wyrrywając się z uścisku. Zezłoszczony podkręcił długiego wąsa i chwycił ją za ramię.

- No, chodź, głupia - warknął. - Złotem zapłacę!

- Nie tak zaraz, jasny panie - szepnęła. - Dam, jak tylko w las wejdziemy.

- Czego się boisz?!

- Straszno tu. Tumany idą...

Zerknął dokoła. Wozy Rokickiego, w których mieścił się najlepszy objazdowy zamtuż w Ziemi Przemyskiej, pozostały daleko z tyłu. Niecierpliwie popchnął ladacznicę w stronę drzew majaczących we mgle. Do diabła, cóż to miało znaczyć! Ta zwykła dziewczka, która oddawała wdzięki za garść szelągów, śmiała się opierać kasztelanowi Ligęzie, staroście lubaczowskiemu!

Chwycił ją za kark, przyciągnął, pocałował rozchylone usta, a potem począł brutalnie ściągać kontusik. Broniła się przez chwilę, ale potem uległa. Zerwał z ramion delię i rzucił ją na ziemię, położył Nastkę, odczepił szablę z rapci i począł zrywać z dziewczki resztę ubrania. Dyszała ciężko, jednak nagle zeszytywniała mu w ramionach.

- Tam! Tam we mgle - wyszeptwała i szarpnęła się.

- Co, do czarta?!

Zdało mu się, że gdzieś w białych tumanach zarżał i koń. Porwał się na nogi, rozejrzał dokoła, Mgła otulała ich jak szczelny płaszcz, tłumiała dźwięki, dławiała w gardle. Przesłyszał się. Już chciał Ligęza opaść znowu w ramiona Nastki, gdy usłyszał łoskot kopyt.

Koń biegł przez mgłę. Głuchy łomot to zbliżał się, to oddalał. Starosta zapalał gniewem.

- Jasiak, chłopski synu, odezwij się!

Cisza.

- Jasiak! Szelmo! Przecie słyszę, że to ty!

Łomot kopyt zbliżał się, a za nim głęboki, mocny oddech konia, ale we mgle i ciemności nie było nic widać. Ligęza zasłyszawszy cichnący stukot... Koń oddalał się.

- Jasiak, do kroćset! Sto różeg weźmiesz na grzbiet. Więcej niżli wtedy, kiedy ziewnąłeś na mszy!

Koń gdzieś przepadł. Starosta myślał, że już skończone, ale znowu usłyszał rzenie. W tym dźwięku dobywającym się z końskiej gardzieli było coś takiego, że poczuł ciarki na plecach. Nastka rozglądała się przerażona.

Wyciągnął z pochwy szablę i ruszył w kierunku odgłosów. Mgła pochłonęła go całego, nakryła powłóczyстым welonem, otuliła w uścisku.

Tętent kopyt ozwał się blisko. Koń zarżał znowu - widocznie rumak denerwował się poskromiony żelazną ręką jeźdźca.

Ligęza poczuł się niepewnie. Cóż to mogło znaczyć? Kto się z niego naigrawał? Postąpił dwa kroki do przodu i znieruchomiał wpatrzony w to, co wyłaniało się z mgły.

Przed nimi stała stara szubienica. Trzy poczerniałe ze starości drewna. Gruby, nasmołowany postronek kołysał się wolno, a na jego końcu... Na końcu zwisało wyschnięte, wypatroszone ścierwo ogromnego wilka.

Ligęza poczuł ucisk w gardle. Pycha, duma i gniew uleciały w jednej chwili. Poczuł, że pot cieknie mu zimną stróżką po grzbiecie.

Jeździec!

Obok wilczego ścierwa stał jeździec... Ciało osłaniała czarna zbroja. Na głowie hełm z przyłbicą. Ligęza usłyszał świst klingi dobywanej z czarnej pochwy.

Czarny koń ruszył skokiem. Starosta słyszał jego chrapanie tuż nad sobą, zobaczył błysk obnażonego ostrza, w którym odbijał się wąski sierp księżycy.

Zdołał uczynić tylko jedno...

Pędził przez chaszczce, potykał się o kamienie, płatał w wysokich trawach, wpadał na krzaki. Jeździec gnał za nim, a Ligęza bał się nawet odwrócić, ani myślał stawić przeciwnikowi czoło. Przecież strach był uczuciem dotąd obcym jego duszy. Teraz uciekał czując oddech karego konia i zimną śmierć ukrytą w lśniącym ostrzu. Przed sobą miał zamglony las, pola i krzaki. Z tyłu śmierć. Zienacka zбочe

rozstąpiło się. Potoczył się po ostrych kamieniach, rozdierając adamaszkowy żupan i hajdawery. Coś lepkiego spływało mu po karku, oblepiało czoło... To była krew.

Potknął się o korzenie wyschniętego dębu, przewrócił, przeokołkował, ale wstał, dobył szabli i spróbował stawić czoło zagrożeniu. Jednak na widok ogromnego konia pędzącego wprost zdobył się jedynie na skowyt. Czarny jeździec uczynił pałaszem świszczącego młyńca, a potem zniżył broń do cięcia.

Błysk stali!

Odblask padł na pobladłą i zakrwawioną twarz Ligeęzy. Kary koń wpadł z rozpędem na kasztelanka. W ostatniej chwili szlachcic odwrócił się, znów chciał uciekać, schylić się przed ciosem, ale na próżno!

Pałasz ciął ze świstem odrąbując prawy bark i ramię z szabłą. Czarna krew trysnęła na wyschnięty dąb, na krzaki i chaszcze. Odrąbana ręka upadła w drgawkach, z dłonią zaciśniętą na nabijanej klejnotami rękojeści karabeli. W nocnej ciszy zawyły wilki. Las odpowiedział echemi, zaraz też rozległo się rżenie konia, potem stukot kopyt i zapadła cisza.

EQUUS POLONUS SUM

Zwodzony most opadł z hukiem. Wjechali w mroczną czeluść bramy, a dudnienie kopyt na drewnianych balach rozbrzmiało głośnym echem. Jacek Dydyński spojrzął w górę. Wysoko nad przejściem dojrzał kamienną tablicę herbową z Lubiczem. Była pęknięta.

Znaleźli się na wąskim, ciasnym dziedzińcu sidorowskiego zamku. Wysoko w górze niebo zasnuwało się mrokiem. Ciężkie, deszczowe chmury przesłoniły księżyc i gwiazdy.

- Ot szczęście, panie kochanku, żeśmy zdążyli - wysapał Anzelm Nietyksa. - Inaczej, panie kochanku, nocowalibyśmy w polu.

- A to dlaczego?

- Pan kasztelan bramy po zmierzchu zamykać każe. I nikt do zamku wkroczyć nie może.

Dydyński rozejrzał się. Na murach stali hajducy, a na wieży płonęły pochodnie.

- Boi się? Czego?

- Wszystko, panie kochanku, we właściwym czasie - wysapał Nietyksa i z trudem zlął z konia. - Jeszcze poznasz, panie kochanku, rzeczy, które wiele ci wyjaśnią.

Dydyński zeskoczył na ziemię. Oddał wodze pacholcowi,

Nietyksa ruszył przodem. Kołysał się, stawiając kroki. Prawą nogę miał z drewna. Jak sam powiadał, urwała mu ją w bitwie kula z falkonetu.

W bitwie, czyli - jak domyślał się Dydyński - w czasie jednej z prywatnych wojen, jakie kilka lat wcześniej toczyli na Rusi Czerwonej Ligęzowie.

Nietyksa zatrzymał się nagle. Zaklął, bo kula uwięzła między kamieniami. Bezskutecznie szarpał nią w przód i w tył.

Dydyński pochylił się, chwycił i wyrwał kulasa ze szpary, podtrzymując Nietyksę.

- Okucie sobie, waszmość, spraw. Jak cię małżonka zdybie z dziewczką, nie uciekniesz daleko.

- Całe życie od niej uciekałem i uciec nie mogłem. Choć jeszcze drewnianego kulasa nie miał.

Świeć, Panie, nad jej grzeszną duszą.

Ruszyli w stronę schodów.

- Litościwy jesteś, panie rębajło - roześmiał się Nietyksa. - To może też, panie kochanku, załujesz tych wszystkich... Khe, khe, panów braci, których usiekłeś, co?

- Tak jest - powiedział twardo Dydyński. - Żałuję.

- Odmawiasz różańce za swoją duszę?

- Nie. Nigdy.

- A za dusze tych, których zabiłeś?

- Wieczności by nie starczyło.

Weszli na krużganek po kamiennych schodach. Przed wielkimi, nabijanymi bretnalami drzwiami do komnat kasztelana stało dwóch hajduków i wysoki szlachcic w lisim kołpaku. Pan Jacek poznał od razu, wystarczyło, że spojrzął na przymrużone oko, przeciętą prawą brew i bliznę na czole starego i raczej złego znajomka.

- O, pan Zaklika, banita i infamis! Czołem biję!

- Dydyński?! - wycharczał szlachcic. - Co tu robisz?

- W gości, panie kochanku, przyjechał - zagadał Nietyksa. - To gość pana kasztelana.

- Gość w dom, bies w dom - wymamrotał Zaklika. - No, mości kawalerze, tak myślę, że znajdziemy sposobność do pogadania o dawnych sprawkach. A teraz szablę oddaj, skoro do kasztelana wchodzisz. Dydyński zawahał się, Nietyksa położył mu dłoń na ramieniu.

- Takie u nas prawo ostatnimi czasy. Kto do kasztelana ma sprawę, broń oddaje.

Dydyński odpiął z rapci czarną szablę i podał Zaklice.

- To ta sama? - spytał Zaklika złowróźnie.

- Przyłóż do szramy, jak nie poznajesz.

Zaklika splunął. Skinął na hajduków, ci otworzyli drzwi.

Weszli do przedsionka. Nietyksa wprowadził Dydyńskiego do dużej sali. Było ciemno, jedynie w ogromnym palenisku płonął ogień, a na stole - trzy świece w złotym lichtarzu rzeźbionym w konie i rycerzy. Obok leżały stare papiery - pożółkłe, złożone kilkakrotnie listy.

- Witam, witam waszmość pana!

Janusz Ligęza, kasztelan halicki, szedł ku nim z otwartymi ramionami. Dydyński dostrzegł wysokie czoło, błyszczące oczy, długą, białą brodę i wytworną delię z kołnierzem z gronostajów. Objął Dydyńskiego i ucałował w oba policzki.

- Siadaj waszmość - wskazał obite skórą krzesło. Skinął na Nietyksę, a ten nalał z dzbana wina do kryształowego pucharu i postawił przed Dydyńskim.

- Pewnie gawędziłeś, panie Jacku, z Zakliką - rzekł kasztelan. - Nie przejmuj się nim, bo Zaklika dobywa szabli tylko wtedy, kiedy mu na to pozwolę. Dopóki długów nie spłaci, wisi mi u rękawa. O tutaj - kasztelan wskazał upierścienioną ręką rękaw karmazynowej delii obszytej futrem. - Twoje zdrowie - uniósł w górę kielich. - Za spotkanie. I za dobiecie targu.

Wypili. Węgrzyn był dobry, pochodził pewnie z piwnic kasztelana. A może z loszku Boratyńskich, których zameczek Ligęza złupił wiosną, w czasie zatargu o Żurawicę?

- A o cóż mamy targu dobijać, miłościwy parne? O Zaklike? Nie jest wart tyle, abyś mnie tu wzywał. O zajazd?

Kasztelan opadł na fotel. Wpatrzył się w Dydyńskiego bystrze i chytrze.

- A jak myślisz, czego mógłbym chcieć od największego rębajły w województwie ruskim? Nie zaprosiłem cię tu dla pogawędki. Jest dla ciebie zadanie. Dobrze płatne.

- A więc?

Kasztelan i Nietyksa wymienili spojrzenia. A potem Ligęza spuścił wzrok.

- Ktoś zabija moich ludzi. To morderca, najemny zbój, pewnie osobisty wróg. Uderza znienacka, sam jeden. Wymknął się z obław. Zabił - głos mu się załamał - zabił Aleksandra, mego najstarszego syna. Jedynego dziedzica. A wcześniej ubił Samuela...

- Jak mniemam, zabija z ukrycia i nikt nie widział jego twarzy?

- Gdyby ktoś widział jego oblicze, nie musiałbym wołać Dydyńskiego. Gdybym wiedział, kto to - wydyszał kasztelan - zabiłbym go dwakroć, trzykroć, czterokroć boleśniej niż on mych synów. Za jedną rękę odrąbałbym mu obie. Za jedną kroplę krwi rodu Ligęzów - wytoczyłbym morze...

- Wszystko zaczęło się jakieś pół roku temu - podjął spokojnie wątek Nietyksa. - Najpierw zginął dzierżawca Wieruszowej, jednej z naszych wiosek. Do dworu wpadł jeździec w czarnej zbroi. I zabił go, porąbał na strzepy... Czarny jeździec zabił później ekonoma spod Halicza. Potem jeszcze dwóch naszych ludzi...

- Zapewne był bez głowy - prychnął Dydyński. - Jadąc brzęczał łańcuchami, a dusze zabitych uwiózł do piekła! A może to nie jeździec, ale bestia, która zjada chamów, co w niedzielę nie dają ofiary na mszy?

- Ten jeździec - mruknął kasztelan - ma głowę. Bez trudu zdejmiesz mu ją z karku.

Uderzył w stół. Wywrócił przy tym kielich. Wąska strużka wina pociekła wzdłuż starego listu przypieczetowanego cudzoziemskim herbem z liliami. Zupełnie jak strużka krwi.

- Czarny jeździec - mruknął Nietyksa. - Chłopi gadają, że to kara za grzechy. Ma wygubić cały ród Ligęzów.

- No cóż - rzekł spokojnie Dydyński - może więc potrzeba wam księdza albo egzorcysty. Ja nie łapię upiórów.

- To nie jest upiór. To człowiek. Jeździ na karym koniu, głowę ukrywa pod przyłbicą, ale dają słowo, że pod jego czarną zbroją bije zwykłe serce. To zabójca albo okrutnik, który chce pomsty.

- Zastawiałem obławy - wycharczał kasztelan - ale jest sprytny jak ryś, okrutny jak wilk i silny jak niedźwiedź.

- Czego oczekujesz ode mnie, panie?
- Chcę zobaczyć ciebie, a obok wóz albo konia. A na tym wozie chcę, żeby znalazło się gnijące ścierwo tego mordercy. Wtedy zerwę mu z głowy hełm i spojrzę w jego martwe oczy. I będę wiedział, komu podziękować. I podziękuję po kasztelańsku. Chcę, żebyś wytropił i zabił mordercę. Dostaniesz tyle złota, ile będzie ważył jeździec.

- W zbroi czy bez?

- W zbroi.

- Nisko mnie cenisz, panie kasztelanie - rzekł wolno Dydyński. - Myśliwy, który ma tropić rysia, zastawiać paść na wilka i brać się za bary z niedźwiedziem, wiele ryzykuje. Dlatego moja cena będzie wysoka.

- Znajdziesz go?

- Znajdę. Lubię ryzyko. Ale chcę dziesięć tysięcy czerwonych!

Kasztelan zacharczał głośniejsz niż gdy wspominał o śmierci syna. Rozkasłał się, a Nietyksa podał mu kielich. Ligęza wychylił wino duszkiem, zachrypiał. Kaszlnął...

- Tyle... - chwycił go duszności. - Myślałem, że jesteś mi przyjacielem, panie Dydyński.

- Jestem, panie. Jenó że my dwaj kochamy się jak bracia, a rachujemy jak Żydzi.

- Dobrze. Dostaniesz dziesięć tysięcy czerwonych. Jeśli go dopadniesz i przywieziesz ścierwo. A ja nasypię ci w wór dukatów, czerwonych, talarów, florenów i reńskich...

Zapadła cisza. Płomienie na palenisku przygasły, cicho skwierczały knoty świec. Kasztelan i Dydyński przybili ręce.

- Daję słowo szlacheckie, że pieniądze dostaniesz - powiedział uroczyście kasztelan.

- Daję *nobile uerbum*, że będziesz miał, mości kasztelanie, głowę mordercy - pan Jacek przyłożył rękę do serca. - Słowo Dydyńskiego nie dym.

- Tedy dobiliśmy targu?

- *Nobile uerbum*.

- Co wiadomo o jeźdźcu?

- Uderza w nocy albo wieczorem. Nosi czarną, rajtarską zbroję i hełm niemiecki. Ma straszną siłę. Gdy sześciu hajduków rzuciło się na niego, zabił wszystkich. Strzelano, ale strzały odbiły się od zbroi. Jeździ na karym koniu szkolonym do walki. Ta bestia odgryza ludziom głowy. Nigdy nie pokazał twarzy.

- Broń jeźdźca?

- Pałasz. Długi, ciężki.

- Rajtar - mruknął Dydyński. - To oręż wolnych rajtarów.

Kasztelan aż się zatrząsał.

- Co?! Coś powiedział?!
- Jeździec używa broni wolnych rajtarów. Może to cudzoziemiec. Kiedy ostatni raz zabił?

- Miesiąc temu usiekł mego syna - powiedział drżącym głosem Ligęza. - Wybacz waść, ale nie mam sił o tym mówić. Z mych dzieci ostała tylko córka. Moja jedyna jaskółeczka... Czy musisz o to teraz pytać, szlachetko?

- Czy jest ktoś, panie, kto mógłby cię znienawidzić? Komuś wyrządził tak wielką krzywdę, że wynajął... albo stał się jeźdźcem?

- Golskiej poniechałem, ze Stadnickimi mam zastaw. Herburt już w piekle, a Drohojowski zabity przez ludzi kasztelana przemyskiego...

- A Tarnawski? - wtrącił Nietyksa.

- Tarnawski nie ośmieliłby się. Zresztą, on już umiera.

- A Wierusz?... - cicho zapytał klucznik.

- Mości panie - rzekł kasztelan do Dydyńskiego. - Mój sługa wskaże ci komnatę. Kiedy wyruszysz ścigać zabójcę?

- Za kilka dni. Najpierw muszę się rozejrzeć.

- Za dwa dni zapoluję w ostępie na niedźwiedzia. Zapraszam.

Dydyński wstał i skłonił się. Nietyksa ujął go za ramię i poprowadził do drzwi.

- Chcę porozmawiać z kimś, kto ostatni raz widział tego czarnego jeźdźca - powiedział Dydyński. - Jest ktoś taki?

- Jasiiek, pacholek pana Aleksandra, świeć panie nad jego grzeszną duszą. Każę mu przyjść do twej izdebki.

Wyszli z komnaty. Kasztelan nawet na nich nie spojrział. Zakliki przed drzwiami już nie było. Hajduk podał panu Jackowi jego szablę. Nietyksa poprowadził go przez sale i krużganki. Zamek sidorowski był przestronny i bogaty. Dydyński widział gdańskie meble, tureckie makaty, dywany i obrazy... Z portretów spoglądały wyblakłe oblicza.

Nietyksa zatrzymał się.

- Niestety spadło na pana naszego - powiedział nagle. - Gniazdo sidorowskie zostało bez dziedziców i następców. Po paniczach pozostał tylko portret.

Dydyński spojrzął na ścianę. W świetle świec dostrzegł obraz z dwójką młodych mężczyzn w cudzoziemskich strojach. Namalowano go w czasach, gdy młodzi Ligęzowie wojażowali po Europie i mieli jeszcze głowy na karkach.

- Młodszy syn kasztelana Samuel i starszy - Aleksander - mruknął Nietyksa. - Pozostała tylko panna Ewa. Odziedziczy splendory i dukaty. Poznasz jeszcze tę pannę, panie bracie. Jeny głowy nie strać, bo gładka.

Dydyński patrzył na portret. W migotliwym świetle świecy trzymanej przez Nietyksę twarze młodych Ligęzów wyglądały blado. Obraz nierówno przycięto - nie wiedzieć czemu obaj młodzieńcy narysowani zostali przy prawej krawędzi malowidła.

- Prowadź do komnaty - mruknął.

JASIEK

Przed drzwiami komnaty czekał na Dydyńskiego młody sługa kasztelana. Skłonił się aż do ziemi i zdjął czapkę ozdobioną trzęsieniem i pękiem sokolich piór.

- Oto Jasiek - rzekł Nietyksa. - Pan kasztelan oddaje ci go do posług. Widział jeźdźca w chwilę po tym, gdy zabił świętej pamięci kasztelanka Aleksandra.

Jasiek wyglądał tak, jak powinien wyglądać pacholek. Szczupły, rumiany na gębę, odziany w krótki zielony żupan zapinany na guzy.

- Blisko byłeś zabójcy, gdy usiekł imię pana Aleksandra?

Pacholek skłonił się.

- Pan Aleksander z dragonką do lasu poszedł. Mnie czekać między ulicznicami kazał. Czekam ja i czekam, aż tu słyszę łomot kopyt. Pomyślałem sobie zaraz, że, gwałtu, coś z moim panem nie tak. Skoczyłem konno we mgłę, aż tu nagle coś wielkiego jak nie hycnie na mnie! Tuż obok czarny jeździec przemknął. Bies prawdziwy! Myślałem za czartem gonić, ale jakże to? Jeszcze się odwróci i człeka zadusi - Jasiek przeżegnał się nabożnie.

- Jak wyglądał?

- Jechał na wielkim koniu. Miał czarną zbroję jak rajтары jego królewskiej mości, com ich w Krakowie widział... A na zbroi lilie srebrne wyrysowane, w rękę pałasz. Oblicza nie pokazał, czart jeden, bo miał hełm z przyłbicą, wielki jak dzwon w kościele bernardynów we Lwowie. Albo kopuły na zamku w Wiśniczu...

- Zaraz, zaraz, widziałeś go przez chwilę i pamiętasz tyle rzeczy? A mówiłeś, że mgła była!

- Nie wiem, panie. Jakoś tak pamiętam.

- Ludzie różne rzeczy gadają - mruknął Nietyksa. - Powtarza, co na targu słyszał.

- Jak myślisz, Jasiek, ten jeździec to człowiek czy upiór?

- Upiór, panie, jako żywo. Baby w Podhajcach mówiły, że to kara za grzechy. Za to, że nasz kasztelan jegomość panom szlacheckie słowo dawał i nie dotrzymywał.

- Idź do czeladnej - Dydyński klepnął pacholka w ramię. Jasiek skulił się i jęknął.

- Co ci jest?

- Trzydzieści różeg wziął u kuny, z pana kasztelana laski - wtrącił Nietyksa.

- Za co?

- Bóg raczy wiedzieć - Jasiek spuścił wzrok. - Za hardość, pan kasztelan powiedział. Za to, że głowę za wysoko noszę.

- A nosisz?

- Nie wiem.

- Tyś szlachcic czy chłop?

Jasiek milczał. Skłonił się nisko.

- Chłop, panie - wyszeptał i dwie łzy stoczyły się po jego policzkach.

- Idź do czeladnej - mruknął pan Jacek. - A jutro skoro świt, do posługi przychodź... - I nie bój się - dodał. - Nie będę cię bił.

AMOR I DEMON

Różne są odmiany jesieni. Jest jesień włoska, ciepła i słoneczna. Jesień francuska pełna dojrzewających winogron, jesień obfitości i zbiorów. Jesień inflancka - szara, ponura i smutna. Jesień multañska, gorąca, pełna zaduchu i pyłu.

Jednak najpiękniejsza jest złota polska jesień.

Tak myślał pan Dydyński, ruszając na kasztelańskie polowanie w Beskidzie.

Był początek października. Lasy i pola pokryły się złotem, drzewa poczynaly gubić żółte liście, które padały na dywan utkany z traw, kwiatów i ziół. Niebo nad górami było błękitne i spokojne. Potoki szumiały cicho wśród kamieni, a pod wieczór z wykrotów i leśnych ostępów podnosiły się pierwsze jesienne mgły. W taki czas zwierz wychodził z pól i lasów, dziki ryły pod dębami, gęsi ciągnęły w kluczach na południe. Na stokach Beskidu pasły się na zimę stada saren, zające kryły się po krzakach, wilki podchodziły pod ludzkie siedziby. Kto tylko czuł się szlachcicem, wyruszał w knieje wraz z gośćmi i służbą, Spuszczał smycze chartów i ogarów lub chwycił się cieszyński czy guldynki. Zapuszczał się w ostępy z łukiem i oszczepem, szczwał zające, ruszał zwierza z kniei, tropił wilki, łosie i jelenie. Polował z sokołem na podniebne ptactwo, chadzał z siecią na niedźwiedzia lub zastawiał sidła na lisa.

Jednakże tego wieczora Dydyńskiemu nie było w głowie polowanie... Kasztelanka.

Gdy zajął wskazane przez borowego stanowisko za kępą pożółkłych liści, broń wyciągnął, usłyszał za sobą stukot kopyt. Odwrócił się i zobaczył młodą pannę na białym dzianecie. Ubrana po męsku - w żupanik, delię i kołpak, spod którego wymykały się pasma ciemnych włosów - podjechała bliżej, patrząc Dydyńskiemu prosto w oczy, a potem zeskoczyła na ziemię. Poprawiła bandolet na ramieniu. Pan Jacek zdołał dostrzec jej piękne, szare oczy, małe, ale pełne wargi, wąskie brwi i nozdrza ściągające się jak u smukłej klaczy.

- Witam, panie Jacku.

- Waćpanna - Dydyński skłonił się i zdjął kołpak - jesteś zapewne Ewą Ligęzianką, córką imć pana kasztelana halickiego, dobrodzieja mojego, o której urodzie i wielkiej mądrości nieraz słyszałem?

- Widzę, że waszmość władasz równie dobrze szablą, co i dowcipem. Czy i kobiety zdobywasz tak łatwo jak trofea na polowaniu?

- Niewiasty podbijam - rzekł Dydyński - szablą i poezją. Poezją zdobywam serce, a szablą przepędzam trubadurów, którzy są lepsi ode mnie w rymowankach niż w szermierce. Cóż waćpannę do mnie sprowadza?

- Byłam ciekawa, czy tak znamienity myśliwy upolował już wilka albo niedźwiedzia.

- Ja poluję na grubszego zwierza, mości kasztelanko.

Ewa uśmiechnęła się lekko. Obeszła gruby pień drzewa, dotykając go lekko palcami.

- Wiem, panie Jacku, na kogo polujesz. Galopuje na karym koniu, a gdy się pojawia, spada czyjaś głowa.

- Głupio robi. Gdybym był jeźdźcem, nie polowałbym na mężczyzn.

- A na co?

- Na... łanie.

Roześmiała się cicho.

- Czy jeździec nie jest przypadkiem kimś, komu pan kasztelan odmówił twojej ręki?

- Gdyby któryś był tak odważny, dałabym mu się porwać... Pan ojciec chce mnie wydać za magnackiego syna. Dla takich za ciężka rajtarska zbroja i pałasz. Nie wiesz, panie Jacku, jak nudne jest życie na dworskich komnatach. Ty, mości Dydyński, robisz, co lubisz; chcesz, żyjesz, chcesz, umierasz! A ja ciągle widzę unione uśmiechy, gładkich panów i tęsknię do wolnego życia. Takiego, jakie ty wiesziesz...

- Takie życie szybko się kończy. W bójce, w karczmie, na gościńcu, pod kopytami koni. Od tatarskiej strzały. Albo na pohańskich galerach. Albo pod toporem kata...

- A wiesz, panie Jacku, dlaczego tu przyszedłam? Odnowić znajomość. Ciągle wspominam, jak przed laty przyjeżdżałeś do mojego ojca, do zamku w Podhajcach,

- Nie pamiętam.

- Nie zwracałeś na mnie uwagi... A naprawdę, panie Jacku - oparła się policzkiem o jego ramię, tak że szlachcica przeszył dreszcz - przyszłam do ciebie, bo wiem, że ON uderzy znowu. Przyjdzie po moją duszę.

- Po ciebie? Dlaczego?

- Jestem ostatnia z rodu. Ratuj mnie, panie Jacku... Ocal przed nim. Mój ojciec kiedyś umrze. A wtedy potrzeba mi będzie kogoś silnego. Takiego jak ty...

- A Zaklika?

- To infamis i banita. Zaklika? Któż to jest Zaklika?

- To mój wróg. Pociąłem go w pojedynku.

- Ale to nie Dydyński. Nie ty...



Z dala rozległo się granie rogów. Zaraz potem zachrzęściły gałęzie i krzaki. Nadciągał kasztelan, Nietyksa, Zaklika i kilku pachołków. Kasztelan trzymał w ręku rusznicę. Zaklika wyciągnął bandolet, spojrzawszy niechętnie na Dydyńskiego i kasztelanę.

- Obława ruszyła! - zakrzyknął Ligęza. - Niedźwiedź w ostępie przed nami. Na konie siadajcie, bo jak w szal wpadnie, odbiec nie zdążycie!

Dydyński pomógł wsiąść Ewie, a potem wskoczył na kulbakę, przygotował półhak, nakręcił zamek. Z daleka, przez puszcę niesło się granie rogów, łoskot kijów i nawaływanie osaczników.

- Wyjdzie ku nam! - wydyszał Nietyksa. - Żebym był w młodych latach, poigrałbym z misiem oszczepem.

Rozjechali się i ukryli za krzakami. Wysoki, groźny ryk rozbrzmiał blisko. Zaraz po nim rozległo się szczekanie sfory.

Dydyński czekał w napięciu. Przed nimi był leśny ostęp, przesłonięty pożółkłymi krzakami - głęboki jar porośnięty drzewami, poprzegradzany zbutwiałymi pniami, zarośnięty chrustem, zawalony kamieniami. Coś kotłowało się w głębi wąwozu, Ujadanie psów stało się głośniejsze. Szelest i łoskot rozbrzmiały bliżej. Niedźwiedź był tuż tuż...

Wszystkie lufy skierowały się ku wylotowi wąwozu.

Niedźwiedź? Dydyński słyszał wyraźnie tętent konia... Ale jak? Skąd...

Z błyskiem światła odbitego od szmelcowanej zbroi... Z łoskotem kopyt i chrapaniem ogromnej karej bestii w kropierzu... Spod baldachimu złotych liści wypadł jeździec w rozwianym płaszczu. Szybko przemknął między drzewami.

Wrzaski, krzyki...

Błysk, huk i dym przeorały polanę. Jednak kule omijały czarnego jeźdźcę. Szybko jak we śnie upiór pomknął tam, gdzie stał kasztelan. Dydyński usłyszał potężniejący łoskot, potem świst powietrza przecinanego ostrzem rajtarskiego pałasza. Jacek cisnął w bok półhak, chwycił za szablę i pomknął za jeźdźcem.

Nie zdążył!

Jeździec jak burza wpadł na pobladłego Ligęzę. Kasztelan zasłonił się szablą, lecz upiór zatoczył pałaszem świszczącego młyńca i ciął!

Kasztelan zdążył się zasłonić. Koń pod starcem stanął dęba, Ligęza opadł w tył, na plecy, a walący się z nóg wierchowiec przygniótł go swoim ciężarem.

Jeździec ściągnął wodze, koń stanął dęba, zatańczył na tylnych nogach. Upiór rozejrzał się, jego oczy ukryte za szparami przyłbicy spojrzały w prawo, w lewo...

- Do broni! Bić! - ryknęło kilka głosów.

Sługa kasztelana przyskoczył bliżej, wznosił rohatynę i pchnął w bok czarnego rycerza. Ostrze ześliznęło się po zbroi, a jeździec nie patrząc zamachnął się i ciął prosto w łeb pachołka. Obrócił się...

Z tyłu runął nań Barszczewski - zaufany klient Ligęzy. Od razu ciął szablą w łeb osłonięty przyłbicą. Ostrze zabrzączało, ześliznęło się po hełmie, a jeździec wykonał obrót, odbił kolejne cięcie szlachcica, a potem błyskawicznie przeszedł z zasłony do zwodu, wbił ostrze w pierś Barszczewskiego, popchnął głębiej i przebił szlachetkę na wylot. Ten zacharczał, zwisł bezwładnie na kulbace, a potem zwałił się na ziemię.

Jeździec rozejrzał się dokoła. Z lewej dopadł go Zaklika, z prawej Dydyński. Obydwaj cięli niemal jednocześnie. Jednak jeździec odbił uderzenie Dydyńskiego, a cięcie Zakliki przyjął na zwinięty płaszcz z boku.

Zaklika wznosił broń do cięcia. Jeździec zastawił się, a wówczas szlachcic ciął. Szybko i płynnie przerzucił broń do lewej ręki.

To była niesamowita sztuczka.

Gdyby tak walczył w czasie pojedynku z Dydyńskim...

Ostrza minęły się, lecz w tejże samej chwili kary koń skoczył w bok, rozdzielając walczących. Czarny jeździec zamarł na chwilę, jak gdyby znalazł to, czego szukał.

Kasztelanka!

Pobladła, szarpała wodze i kłuła konia ostrogami. Biały dzianet zarżał i popędził galopem przez knieję. Upiór skoczył za nią. Kary koń zachrapał i pomknął jak burza. A za nim, kilka kroków z tyłu, leciał z rozwianą grzywą husarski rumak Dydyńskiego.

Drzewa migały im przed oczyma, kamyki i piach spod kopyt siekły w twarze. Wypadli na długą polanę zasłaną żółtymi liśćmi, zarośniętą wyschłymi trawami. Wierchowiec Dydyńskiego nie zdołał zbliżyć się ani na krok do karego rumaka. Za to czarny jeździec z każdym krokiem przybliżał się do białego dzianeta.

Kasztelanka krzyknęła. W porywie rozpaczy chwyciła za pistolet, odwróciła się w kulbace i wypaliła.

Chybiła. Kula przemknęła nad ramieniem czarnego jeźdźcy. Jacek schylił się odruchowo. Ołów świsnął mu nad głową, przestrzelił kołpak i trzęsień.

Czarna, stalowa rękawica opadła na ramię kasztelanki. Jeździec wyrwał Ewę z siodła i przygiął do kulbaki. Dziewczyna szarpnęła się. Zapięcia delii i żupanika trzasnęły w jednej chwili, a kasztelanka w ostatnim porywie rozpaczy, z całych sił uderzyła ręką pistoletu w przyłbicę rycerza.

Cios zachwiał przeciwnikiem. Czarny rycerz rozluźnił uścisk, a Ewa wyrwała się, pozostawiając delię w jego rękę. Spadła między konie, przeturlała się po trawie, znieruchomiła.

Jeździec zawrócił konia tuż przed końcem polany. Spiał wierzchowca ostrogami i w tej chwili dopadł go Dydyński. Starli się pod wyschniętym dębem. Ogromne drzewo wyciągało ku niebu kikuty gałęzi obłazących z kory. Jacek zatoczył szablą młyńca nad końskim grzbietem. Miał przeciwnika z lewej, więc ciął z tej strony - wręcz. Czarny rycerz sparował cięcie płaską zasłoną, trzymając ostrze pałasza przechylone ku ziemi. Zaraz po tym uderzył głowicą w głowę Dydyńskiego. Jacek uchylił się! Znał tę sztuczkę. Zawrócił konia.

Starli się znowu, tym razem na dłużej. Czarny rycerz ciął wlew, w ostatniej chwili cofnął ostrze tuż nad zastawą Dydyńskiego i wyprowadził zwód do pchnięcia.

Chybił!

Jacek zbił ostrze pałasza, odrzucił w bok, sam przyciął z łokcia, a ostrze szabli zgrzytnęło osuwając się po przyłbicy hełmu. Konie walczących odskoczyły. Jeźdźcy znowu skierowali je na siebie. Czarny jeździec ciął pierwszy, Dydyński przyjął uderzenie na zastawę - cofnął lekko szablę, a potem wyprowadził szybką i krótką odpowiedź. Upiór zamachnął się, uderzył na odlew, a wtedy Jacek ciął od lewej, w kiść. Już w trakcie cięcia dołączył lewą rękę do prawej i uderzył ze świstem cięciem trybunalskim prosto w ostrze przeciwnika.

Pałasz wybity z czarnej rękawicy zafurkotał w powietrzu, poleciał kilka kroków i wbił się w pień dębu.

Czarny rycerz uderzył karego ostrogami. Dydyński podjechał do kasztelanki, obrócił konia i zamarł, wpatrzony w przeciwnika, gotowy bronić jej do końca. Mierzyli się wzrokiem.

W oddali rozległo się szczekanie psów.

Czarny jeździec powoli opuścił głowę. Ruszył, ominął łukiem Dydyńskiego, pomknął skokiem, a przejeżdżając obok wyschłego dębu, wyrwał pałasz wbity w pień. Odwrócił się, spojrzał na Dydyńskiego, a potem unióś dłoń w rękawicy w rajtarskim pozdrowieniu i skoczył między drzewa, roztopił się w mgłach.

Dydyński zeskoczył z konia, przypadł do kasztelanki. Leżała pośród welonu traw. Jej czarne włosy rozsypały się na dywanie złotych liści, rozerwany żupanik zsunął z gładkich ramion. Szlachcic porwał ją w ramiona, potrząsnął.

- Żyj! - wydyszał. - Żyj, mości panno.

Jęknęła cicho. Dydyński spojrzał na nagie piersi zwieńczone brązowymi sutkami, a potem objął wąską talię i przytknął usta do jej ust, całował mocno, brutalnie, całym ciałem czuł ciepło jej ciała, jej dotyk, jej smak.

- Jegomość! Hej, jegomość!

Oderwał się od Ewy, położył ją troskliwie na trawie. Bładość na obliczu Ligezianki zmieniła się w róż. Przychodziła wolno do siebie,

Dydyński poderwał się na nogi. Obok przerażony Jaśko trzymał wodze konia.

- Olaboga! - zakrzyknął pacholek. - Żyjecie?! A panna? Żywa będzie?

Zadudniły kopyta. Z półmroku wynurzyły się rozpędzone konie, zaszczekały psy. Nietyksa, Zaklika i kilku panów braci zeskoczyli z koni, zaświeciły pochodnie, załśniły szable i pistolety.

- Na Boga! Panie Dydyński! - krzyknął Nietyksa. - Żyjesz waść? A jeździec, a panna? Gdzie panna?!

- Żyje! - wydyszał Dydyński.

Dziwne, ale z ust pacholek nie wydobył się okrzyk radości. Nie uszło to uwagi Dydyńskiego. Jedyne Zaklika przypadł do kasztelanki, dotknął jej policzka, przytknął ucho do piersi.

- Dycha! - zawołał. - Bogu niech będą dzięki! Dopiero teraz spojrzał na rozerwany żupanik i suknię, Dydyński poczuł jego wściekły, rozpalony wzrok.

- Śmiało waszmość sobie poczynaleś! - wysyczał Zaklika. Porwał za szablę i ruszył w stronę Dydyńskiego. - Na kasztelańską córkę podniosłeś rękę?!

Dydyński nie unióś szabli. Widział wcześniej jego popisy i był pełen podziwu. Zaklika sporo nauczył się od czasu ostatniej zwady. Może za dużo, Głupotą byłoby ryzykować pojedynek w takiej chwili.

- A nie zapytasz waść, co stało się z jeźdźcem?

- Spokój, mości panowie! — Nietyksa wpadł pomiędzy Zaklikę i Dydyńskiego. - Bierzcie pannę! - rozkazał pacholek.

Zaklika zrzucił delię. Wspólnie ze sługami kasztelana ułożyli na niej Ewę, podnieśli z ziemi. Zaklika delikatnie dotknął jej policzka.

- Żyj, sokolico, żyj, proszę - wyszeptał.
- A ja wszystko widziałem - wykrzyczał Jasiek i skłonił się nisko przed Dydyńskim - jegomość bił się z czartem! Wybił mu miecz z ręki i kości wszystkie porachował.
- Jak to?! Panie Jacku? Walczyłeś z upiorem?
- Dydyński położył mu rękę na ramieniu.
- Co z kasztelanem?
- Szwankował przez konia. Ale będzie żył.
- Więc chodźmy!

PAROKSYZM I HERALDYKA

- Jasiek pochyla! się nad miednicą, upuszczał do niej krew kasztelanowi.
- Wasza miłość wiesz dobrze, kim jest czarny jeździec - rzekł twardo Dydyński.
 - Dość! - wycharczał Ligęza i odtrącił Jaśka. - Rzekłem, dość!
- Jasiek skłonił się i przewiązał ramię Ligęzy czystym bandażem. Kasztelan odepchnął go ze złością, zakaszłał, z jękiem chwycił się za lewy bok.
- Coś powiedział? Że znam jeźdźca? Dlaczego tak myślisz?
 - On nie chciał zabić twojej córki. Jeździec chciał ją porwać.
 - Aby zabić! - zakrzyknął kasztelan i poderwał się z miejsca. Jasiek usłuznie podał mu puchar z gorącym napitkiem.
 - Pijcie, panie kasztelanie. Pijcie - zawołał. - Te zioła medyk...
 - Milcz, do diabła! - Ligęza wytrącił z ręki sługi puchar, a potem zdzielił Jaśka w twarz. - I tak zdechnę - rozkaszał się, wsparł o stół, a na jego usta wystąpiła krwawa piana.
 - Jeździec odtrąciła kiedyś panna albo ty, kasztelanie - ciągnął niewzruszenie Dydyński - policz, ilu magnackim synalkom podałeś czarną polewkę.
 - Więcej ich było niżli gwiazd na niebie. Nie oddam córki hołocie... Dość pytań! Bo zapomnę o naszym kontrakcie!
 - Dałeś mi, panie, *nobile uerbum*, że gdy odnajdę zabójcę, nagroda mnie nie minie. Słowo kasztelańskie nie dym!
- Oblicze Ligęzy nabiegło czerwienią. Ręka, którą wyciągnął w stronę Dydyńskiego, drżała.
- Gdy pierwszy raz rozmawialiśmy, imć Nietyksa wypowiedział nazwisko Wierusz... Kto to jest?
 - To chłop - wykrztusił kasztelan. - Ja... Nieprawnie... - opadł na krzesło, a jego twarz poczęła się robić czerwiejsza. - Jezu Chryste! Jezu... duszę się! - szarpnął za zapięcie atlasowego żupana,
 - Jasiek! Nietyksa! Służba! - zawołał Dydyński. Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Do komnaty wpadli pachółkowie i zamkowy medyk. Chwycili z Jaśkiem rżężącego, trapionego apopleksją kasztelana, ponieśli do sąsiedniej komnaty.
- Dydyński westchnął ciężko. Wyszedł na krużganek i oparł się o poręcz. Usłyszał stukot młotków na dziedzińcu. Na dole, przed wejściem do zamkowej kaplicy stolarz zbijał krzyże z drewnianych bali. Dwóch pachółków wносиło do środka proste drewniane trumny.
- Dydyński ruszył do swojej komnaty. Wszedł po schodach, potem przemierzył korytarz, w sali z portretami zatrzymał się na chwilę. Znowu spojrzał na portret przedstawiający obu kasztelaniców - Samuela i Aleksandra. Zamyślił się na chwilę.
- Dlaczego na portrecie były dwa herby? Jeden - to Lubicz Ligęzów, a drugi — dziwna, dzielona w słup tarcza z czterema liliami. To nie był herb Ligęzów. To nie był żaden polski herb.
- Obaj młodzieńcy zostali namalowani blisko prawej krawędzi obrazu. Zbyt blisko. Herbowa tarcza u ich stóp zapewne kiedyś znajdowała się pośrodku malowidła...
- Dydyński wzruszył ramionami i ruszył do komnaty. Pchnął drzwi i zamarł. Na środku pokoju leżał świstek papieru, Dydyński podniósł go i przeczytał.
- Wielmożny, Uprzemy i Wielce mnie miły Mości Panie Bracie!*
Zaszły zdarzenia, które sprawiają, że muszę powiedzieć ci o czymś ważnym. Czekam dziś wieczorem w karczmie „Pod Szablami” u Żyda Berka, na krakowskim trakcie.
 Podpisu nie było. Dydyński zmiął list. I pomacał przy boku rękojeść szabli.

„POD SZABLAMI”

Karczma sterczała przy trakcie ze Lwowa do Krakowa, zwano ją „Pod Szablami” z powodu licznych zwad i rąbanin, które rozgrywały się w jej wnętrzu. Umawiali się tu na pojedynki panowie bracia,

karcznię palono co kilka lat. Ostatni raz uczynili to zbuntowani żołnierze z konfederacji lwowskiej. Ale i tak w ciągu ostatniego roku w deski, stoły i bale wsiąkło tyle szlacheckiej krwi, że starczyłoby jej na ufarbowanie na karmazynowa barwę wszystkich żupanów w całym województwie ruskim.

Karczma była pełna. Dydyński z trudem przeciskał się przez tłum herbowych panów braci. Rozglądał się z uśmiechem i odpowiadał na liczne pozdrowienia, wszak był znany i lubiany w całej Ziemi Przemysko-Sanockiej, a przy drewnianych stolach poznaczonych nacięciami szabel i czekanów zasiadał kwiat szlachty z tego pogranicza Rzeczypospolitej. Gdyby pan Dydyński zajrzał do zajazdu w dalekiej Francji albo Niderlandach, otoczyłyby go smętne i blade oblicza pludraków pociągających drobnymi łyżkami cienkie wino z kielichów. Utytułowanych mieszczuchów i tchórzliwych kawalerów skrywających oblicza pod perukami. Ludzi chłodnych i wyrafinowanych, cedzących słowa półgębkiem i pilnujących, aby broń Boże nie uronić ani kropli z kielicha, ani nie paść w pijackim śnie pod stołem.

Na szczęście była to gospoda w Rzeczypospolitej, więc pana Jacka otaczały czerwone gęby i rubaszne oblicza szlachty polskiej, a w uszy uderzały śpiewy i krzyki pijanych panów braci. Widział gęby poznaczone guzami, bliznami po cięciach szablą i śladami od prochu. Gęby rumiane i blade, ozdobione nosami czerwonymi od pijaństwa. Płowe i czarne podgolone czupryny, sumiaste wąsy - czasem nierówne, bo podcięte przez sąsiada lub konkurenta do panny. Oblicza poczciwe i otwarte, pijackie i wesołe, ale nade wszystko - szczerze i rubaszne.

Dydyński rozglądał się, ale nie dostrzegł, aby ktoś w tłumie gości skinął na niego jak kto umówiony. Przeszedł przez całą izbę, aż w końcu zajrzał do małego alkierzyka. Zajrzał i zamarł.

Nietyksa.

Szlachcic kiwał się sennie nad kuflem piwa. Czyżby czekał?

Dydyński wszedł do alkierza, przysunął z łoskotem ławę do stołu i rozsiadł się wygodnie. Nietyksa otworzył jedno oko.

- Wreszcie jesteś, panie Jacku.

- Słucham.

- Chyba wiesz, o czym chciałbym z tobą mówić...

- O jeźdźcu.

Nietyksa spojrział na boki sprawdzając, czy ktoś nie podsłuchuje.

- Jeździec godzi w cześć i honor Ligęzów. A nade wszystko w to, co pan na Sidorowie kocha najbardziej. Kasztelanę!

- Chce ją porwać do ołtarza?

Nietyksa uśmiechnął się, dopił piwo i odstawił pusty kufel.

- Jeździec na karym koniu, który przybywa z mgły. Niezwyciężony, niedościgniony. Szybki jak zmija, waleczny jak lew i... sprawiedliwy jak śmierć.

- Jak się zowie?! Zdradź mi jego imię.

Nietyksa zapatrzył się w dal. Zdawało się, że nawet w głównej izbie pijackie krzyki przycichły.

- Wiem, kto jest jeźdźcem - powiedział cicho. - Znam tę historię. I kasztelan ją zna, ale nie wyjawi jej nigdy, bo nie chce uwierzyć, że to możliwe. Ten jeździec to upiór.

- Upiór!?

- Też myślałem, że czarny diabeł nie wstanie z grobu. Ale ożył, powstał z martwych, choć sam widziałem obcięte głowy jego towarzyszy.

Dydyński spojrział Nietyksie prosto w oczy.

- A więc? Mów, mów, panie bracie!

- Kasztelan przyjął kiedyś na służbę człeka, który zwał się Chrystian Thurn. Podawał się za szlachcica z Wirtembergii, ale myślę, że to bękart ze Śląska, który przyssał się do cudzego klejnotu. Pan Ligęza uczynił go dowódcą straży i zaufanym sługą, a gdy obaj panicze dorosli, wysłał go z nimi za granicę. Kasztelan hołubił Thuma na dworze, żywił i otaczał łaskami. A źle robił, bo od pańskich faworów czarciem bękartowi pomieszało się we łbie. Coraz śmieiej sobie poczynął.

Pewnego razu Ligęza pojechał do Krakowa. W drodze spotkał swawolną kupę. Wybili jego czeladź i hajduków. Ligęza byłby zginął, gdyby nie Chrystian. Nadciągnął na czas ze swoimi ludźmi i uchronił gardło kasztelana.

- I co na to Ligęza?

- Dał *nobile verbum*, że odda mu, czego tamten zażąda, choćby nawet zamku i starostwa. A bękart...

Bękart wymyślił coś, co przyprawiło Ligęzę o wściekłość.

- Zażądał pieniędzy? ,

- Gdzież tam! Chciał ręki panny Ewy.
- A kasztelan...
- Dał *nobile uerbum*, że odda mu córkę. Ale dopiero, gdy ukończy 21 rok życia. Chytry był Ligęza, ale przechytrzył. To było tuż przed pogromem pod Cecora. Chrystian wybierał się na wojnę, został nawet kapitanem kompanii rajtarów w regimencie imię pana Krzanowskiego, a panna była młoda. Ligęza myślał, że bękart zginie albo zapomni. Ale on przeżył. Po bitwie chocimskiej wrócił, i to nie sam!
- Jak to?



Hubert Czajkowski

- Była z nim kupa hultajstwa. Chrystian dobrał sobie towarzyszy z wolnych rajtarów, którzy nie dostali zasług, i wraz z nimi łupił wsie i miasta. Kasztelan bał się, że upomni się o pannę, ale miał szczęście. Chrystian szalał i zabijał, był zawzięty na chłopów. I wtedy poczęto mówić o nim czarny jeździec albo czarny upiór, bo jeździł w czarnej zbroi rajtarskiej i nigdy nie pokazywał twarzy. Ale zginął z rąk chamów. Najpierw starosta Krasicki pogromił ze swoimi ludźmi jego kompanię, a potem w wiosce dopadli go rozwścieczeni chłopci i zarabali kosami. Jego i dwunastu rajtarów. Chrystian zginął w walce, ale rajtarów kmiecie wzięli żywcem i pościnali im głowy kosami. Wszyscy myśleli, że czarny jeździec zginął. Aż tu nagle... W maju tego roku panna skończyła dwadzieścia jeden wiosen... I wtedy padł pierwszy trup.

Nietyksa rozkaszał się.

- Czarny jeździec wraca. Kryje się we mgle i uderza. Chce uwieźć do piekła to, co mu się słusznie należy... Zabrać do piekła pannę Ligęziankę.

- Ewę?!

- Pannę kasztelanekę. Tak jest. Ligęza dał mu słowo szlacheckie. A Ligęza nigdy słowa nie łamie.

- Jakim herbem pieczętował się Chrystian?

- Cztery lilie na tarczy dzielonej w słup...

Jacek zamarł. Wszystko zawiroowało mu przed oczyma. Ten sam herb był na portrecie.

- Albo Chrystian wcale wtedy nie zginął - mruknął Dydyński - albo ktoś podszywa się pod jeźdźca. Walczyłem z nim... To nie upiór... Wstawaj, waszmość! Czas nam ruszać!

- Dokąd?

- Prowadź na grób tego Chrystiana. Jeśli naprawdę zginął, będą tam leżeć kości. A jeśli nie, znaczy, że żyje.

- Teraz? W nocy?!

- Nie ma chwili do stracenia!

Nietyksa poderwał się. Pokuśtykał do wyjścia. Dydyński następował mu na piętę.

Weszli do sieni, a z niej ruszyli do stanu z tyłu karczmy. Dydyński uchylił drzwi do ogromnej izby pachnącej końmi, sianem i końskim nawozem. W czasie gdy rozmawiali, zapadła ciemna noc. Księżyc zaglądał do okien.

Nietyksa krzyknął na pacholka, ale odpowiedziała mu cisza. Ruszył do ogromnych drzwi prowadzących na zewnątrz, łomocząc nogą o zmurszałe deski. Dydyński sam znalazł swego konia, narzucił nań kulbakę, przeciągnął pod brzuchem popręgi, założył munsztuk i trzęzle... Spojrzał na drzwi i zamarł... Coś było nie tak. Księżyc świecił mocno, blask wpadał do stanu przez szparę na dole wrót, na samym środku poblask był rozdzielony, przesłonięty przez coś, co stało na zewnątrz...

Szelest, a potem i niemal poczuł, jak coś dużego i czarnego przesłania światło księżyca po drugiej stronie...

- Nie rusz, waćpan, drzwi! - zakrzyknął. Za późno!

Nietyksa szarpnął oba skrzydła. Wrota rozwarły się ze skrzypieniem.

- Jezu Chryste... Jeździec...

Dydyński dostrzegł czerwone oczy konia i błysk na obnażonym pałaszu. Nietyksa rzucił się do ucieczki, biegł, szlochając prosto do drzwi.

Ogromny rumak rusza z miejsca.

Kuternoga pędzi z krzykiem do karczmy...

Rżenie konia, świst ostrza...

Nietyksa potknął się, zamarł przechylony, gdyż drewniana noga uwięzła w szparze między deskami. Szarpnął drewnianym kulasem, ale nie zdołał wydostać się z pułapki. Z krzykiem ciął szablą w drewnianą żerdź, raz, drugi, trzeci.

Nie zdążył! Jeździec jak cień przemknął obok niego. Ostrze pałasza opadło z ponurym świstem, głowa Nietyksy potoczyła się pod ścianę.

Jeździec wstrzymał konia, zawrócił i pomknął do drzwi, wypadł na zewnątrz. Dydyński skoczył na wierzchowca, uderzył rumaka łydkami i pomknął za nim.

Wypadli w noc. Kary koń pędził jak wicher, nie znając zmęczenia. Galopował gościńcem, a potem runął na południe. Przemknął przez bród, nad którym unosiły się opary mgieł i wpadł do starego lasu. Poskręcane konary drzew tylko migały Dydyńskiemu w oczach. Blask księżyca w pełni przeświecał przez gałęzie, kładł się jasnymi plamami na mchu i paprociach.

Jeździec wpadł na dużą polanę, zatrzymał się, zwolnił. Dydyński dobył szabli.

- Chrystianie! Zatrzymaj się!

Jeździec zamarł. Powoli odwrócił się w stronę Dydyńskiego. Jacek poczuł dreszcz, gdy dostrzegł ciemne szczeliny w przyłbicy przeciwnika. Nie widział w nich oczu, nie widział piekielnych płomieni... Tylko czerń.

Co było za tą przyłbicą... Oddałby wiele, aby zobaczyć twarz jeźdźca.

- Panie von Thurn! - krzyknął. - Odsłoń oblicze.

Czarny jeździec zniżył pałasz do cięcia, a potem ruszył na Dydyńskiego.

Starli się na środku polany, oblani księżycowym światłem. Czarny diabeł rąbnął wręcz, potem wlew, na odlew i w kiść, Dydyński uchylił się, ciął, odparował podstępny sztych i odpowiedział krótkim cięciem na głowę. Walczyli w furii, zdyszani uderzali i przyjmowali uderzenia. Konie kwiczały, napierały na siebie, szczerząc zęby.

Niespodziewanie Dydyński zbił w bok cięcia ciężkiego pałasza. Potem zanurkował pod ostrzem, chcąc wyprowadzić morderczy sztych. W ostatniej chwili zmienił zamiar. Szybko jak żmija wyskoczył z siodła i całym ciałem uderzył w opancerzoną pierś przeciwnika, objął go ramieniem.

Kary koń stanął dęba, czarny jeździec przechylił się w tył, wypadł z kulbaki. Upadli na kamienie, rozdzielili się, lecąc. Dydyński osłonił głowę, przeturlał się po ziemi, a jeździec opadł na plecy, uderzył głową o kamienie.

Pan Jacek poderwał się szybko. Jego szabla świsnęła cienko, odrzuciła w bok ostrze ciężkiego pałasza. Potem jeszcze kopniakiem ciężkiego, podkutego buta wytrącił broń z ręki przeciwnika.

Postawił lewą nogę na piersi jeźdźca, przycisnął szablę do szyi okrytej skórą.

- Kim jesteś?! - wydyszał. - Pokaż mi swoje oblicze.

Czarny jeździec nie poruszał się. Dydyński przesunął sztych szabli wyżej, do hełmu. Ostrożnie podważał przyłbicę. Twarz!

Zobaczy twarz jeźdźca!

Szybkim ruchem podniósł przyłbicę.

Chrapanie konia, łoskot kopyt.

Dydyński rzucił się w bok, przetoczył po kamieniach.

Ogromny, kary koń o czerwonych oczach przemknął nad nim. Zawrócił i pomknął w stronę szlachcica z pyskiem wysuniętym do przodu. Skoczył prosto na Jacka, chcąc go stratować. Dydyński umknął w ostatniej chwili, ciął szabłą od boku w pysk bestii. Koń kwiknął z bólu, zawrócił, zarżał. Dydyński cofnął się. Rozległ się chrzęst stali. Chciał zerknąć przez ramię, ale usłyszał świst ostrza i coś uderzyło go w bok. Wpadł w ciemną studnię bez dna i ścian i spadał długo.

NOBILE VERBTUM

Nie spadł w nicość ani nie uderzył o kamienie. Opadł na coś miękkiego. Leżał w ciszy, wsłuchany w trzask ognia na palenisku. Otworzył oczy, miał nad sobą belkowany, pobielany sufit, po którym skakały płomienie.

Leżał na ławie w prostej, chłopskiej izbie bez podłogi, W otwartej czeluści chlebowego pieca płonął ogień. Czerwony blask wydobywał z ciemności prosty stół, drewniany ceber, stos drew w kącie, drewnianą balię, kijankę, kilka glinianych garnków. Dydyński poderwał się na nogi. Serce zabiło mu mocno, czyżby się znalazł w niewoli. Izba wyglądała jak komora w chłopskiej chałupie, a nie zbójeckie siedlisko, Nagle poczuł ból w lewym boku. Pomacał się tam i poczuł grube zwoje bandaża.

Żyję, pomyślał. Nie zabił mnie.

Przeszedł się po izbie. Okiennice zamknięto na głucho. Ciekawe, czy drzwi także. Ruszył ku nim i zamarł. Coś ukryto za piecem.

W szparze ktoś schował szablę - prostą batorówkę z szerokim, zakrzywionym łagodnie ostrzem, długim jęczcem i ściętą skośnie nasadą głowicy.

Oprócz szabli Dydyński wyciągnął coś jeszcze. Małe zawiniątko, w którym zabłysnęło coś złotego... Sygnet! Szlachecki sygnet z wybitym znakiem brogu. To był herb Leszczyc.

Drzwi odskoczyły ze skrzypieniem. Dydyński chwycił za rękojeść. Do izby wszedł niski, postawny mężczyzna w baranej czapie i chłopskiej sukmanie. A za nim... Za nim wmaszerował Jasiak z zakłopotaną miną. Nieznajomy zamarł widząc szablę w ręku pana Jacka.

- Powoli, panie rębajło - mruknął. - Ledwie wydobrzałeś.

- Jegomości okrutnie cięto - skłonił się Jasiak. - Znaleźliśmy cię przy trakcie, w lesie. Koń stał nad tobą wyłknięty i pogryziony.

- Powoli, Jasiak - powiedział mężczyzna w czapie. - Jak



widzisz, panie, nie jesteśmy zbójce, ale cię po chrześcijańsku wyratowaliśmy z opresji. Jam jest Mikołaj Wierusz, ojciec twego pacholka Jaśka. A ty, panie, trzymasz w ręku moją szablę.



Dydyński podał mu batorówkę.

- Już oddaję. Sygnet też twój?

- Jako żywo.

Dydyński spojrział na sygnet, a potem na Wierusza.

- To jak to? Jasiek chłop, sam tak mówił, a ojciec pieczętuje się sygnetem?

- Zabrali mi szlachectwo.

- Zabrali? Zbójcy? Zaczaili się i cap! Odebrali?

- Nie zbójcy. Jeden zbój, największy w całym powiecie. Pan kasztelan z Sidorowa. Pan Ligęza. Tak sobie upodobał nasz zaścianek, że uczynił naganę naszego szlachectwa i przemienił w chłopów. Jasiek był wtedy mały. Nazywałem się Wiemszowski herbu Leszczyc. Dziś tylko Wierusz.

- Nie wiedziałem - mruknął Dydyński. - Ale i tak jestem wdzięczny za pomoc i uratowanie życia, panie bracie.

- Więc uczyn coś dla mnie.

- Cóż takiego?

- Przestań ścigać czarnego jeźdźca.

- Co?! Dlaczego?

- Jeździec wypełnia wolę Boga. Karze grzeszników. Nie w prawie władał pan Ligęza, łamał słowa i przysięgi, zajeżdżał sąsiadów, brał, co chciał. Cudze żony, dziewczki i córki, wsie, zamki i miasteczka. Więc jeździec wziął to, co Ligęza kochał najbardziej. Jego synów. I weźmie jeszcze córkę.

- Mówisz tak, bo nienawidzisz Ligęzy. Ilu niewinnych ludzi zabił jeździec? Ilu pomordował?

- A czy zabił ciebie?!

Dydyński spuścił wzrok, pomacał się po boku... Ta rana nie mogła być śmiertelna.

- Zabijał ludzi pana kasztelana. Jego sługi, jego hajduków, jego rękodajnych - ciągnął Wierusz.

- Co był winien dzierżawca, którego rozszczępił pierwszego?

- Pan Lubicz był synem kasztelana z nieprawego łoża. Katem nad nami. On ojca mego Sebastiana postawił na cztery noce pod pręgierz, aż starzec umarł...

- Jeździec to człowiek czy upiór?

Mikołaj skinął na Jaśka. Chłopak przydzwigał z sąsiedniej izby ciężki parciany worek.

Podniósł go z trudem i cisnął na stół. Sznur rozsunał się. Zabrzęczało złoto, sypnęły się rulony czerwońców, dukatów, srebrnych

groszy, pruskich talarów, florenów, kwartników i miedzianych szelągów.

Dydyński oniemiał. Wsparł się o stół z niedowierzaniem.

- Wszyscy wiedzą, że waść najmujesz szablę za pieniądze. Kasztelan obiecał ci dziesięć tysięcy czerwonych. Ot, tutaj jest dwanaście. Zabieraj je i jedź, gdzie chcesz.

Dydyński pokręcił głową.

- Nie bój się, to nie jest złoto Wieruszowskich. Nie tylko Wieruszowskich. Ale myśmy też się dorzucili.

- Tu nie chodzi o złoto! Ja dałem słowo szlacheckie. *Verbum nobile debet esse stabile!*

- Mało jeszcze?

- Nie chodzi o pieniądze.

Wieruszowski odpiął chudy mieszek i rzucił go na stół.

- Bierz, bierz wszystko.

- To nie pieniądze mnie trzymają - powtórzył wolno Dydyński, - Obiecałem, że pokonam jeźdźca, a mam swój honor. Chcę zobaczyć, czyja twarz kryje się pod przyłbicą.

- Skąd wiesz, czy nie zobaczysz odbicia własnej?

Dydyński wsparł się pod boki. Popatrzył groźnie na Wieruszewskiego.

- Mów, co wiesz o jeźdźcu.

- Nic nie powiem.

- Mógłbym cię zawlec do kasztelana. Na mękach przyznałbyś się nawet do ukrzyżowania naszego Zbawiciela.

- Nie zrobisz tego. Ty jesteś Dydyński, nie Ligęza.

- Bóg zapłać za opiekę, panie Wierusz. Jeśli pokonam jeźdźca, skłonię kasztelana, aby ci szlachectwo wrócił.

- Nie przekonasz.

- Dlaczego?

- Bo zginiesz. Jeździec cię zabije.

- Dlaczego nie zrobił tego do tej pory?

- Wybiłeś mu szablę z ręki, ale dałeś odjechać. A on jest honorowy, podobnie jak ty. I podobnie jak ty dał słowo, że porwie kasztelanekę do piekła. Czyje słowo jest mocniejsze? Nie licz, że okaże ci litość za drugim razem.

Zapadła cisza. Tylko ogień potrzaskiwał na palenisku.

- Jasiek, przynieś żupan i delię!

- Panie Dydyński - powiedział cicho Wieruszowski. - To było inaczej, niż opowiadał Nietyksa.

Chrystiana von Thurn nie zabili chłopci rozwścieczeni rabunkami. Wpadł w zasadzkę urządzoną przez ludzi kasztelana Ligęzy. Został zwabiony w pewne miejsca i zabity.

- Kto zwabił go w zasadzkę?

Wierusz nie odpowiadał. Dydyński patrzył na niego długo. A potem wyszedł z chaty w czarną noc.

EXITUS

Ligęza umierał. Świece ustawione przy łożu rzucały złote światło na oblicze kasztelana. Podkreślały czarne cienie pod oczyma, wydobywały kości policzkowe. Ta twarz była obliczem trupa. Sprowadzony ze Lwowa malarz skończył już portret trumienny na cynowej blasze, a na wieżach sidorowskiego zamku zawieszano czarne chorągwie.

- Tak, to prawda - wycharczał kasztelan. - Żył kiedyś Chrystian von Thurn, którego kazałem chować na dworze, a który umiłował moją dziewczkę. A teraz wrócił jako czarny jeździec. Nie wiem, czy to ten bękart, czy ktoś się pod niego podszywa. Sześć lat temu zwabiłem go w pułapkę i kazałem zabić, ale powstał z grobu.

Kasztelan rozkasłał się. Medyk podał mu zioła w kubku. Ligęza przełknął z trudem kilka łyków.

- On przyjdzie tutaj... Przyjdzie po Ewę, zabierze ją. Ale... to nie ma znaczenia.

- Dlaczego? - spytał Dydyński.

- Ja umieram. Moje włości... Wszystko zdobyłem własną krwią. Patrz - zacharczał i wskazał stosy papierów na stoliku. - Już wiedzą. Już się zbierają... Gdy wilk pada, młode rozszarpują go. Moja córka nie utrzyma majątku... Nie zabije jej jeździec, to krewni i sąsiedzi rozgrabią wszystko...

- Dałem, panie, słowo, że zabiję czarnego jeźdźcę. I słowa dotrzymam.

- Obiecałem ci dziesięć tysięcy. Ale teraz chcę zawrzeć nową umowę - wychrypiął Ligęza. - Uratuj Ewę, zabij jeźdźca... Wyznaczę cię jej opiekunem. Dostaniesz dziewczkę i cały majątek. Pięćdziesiąt wsi, co wyrwałem diabłu z gardła... Ehhheee. Ehhhee!

Kasztelan zacharczał, chwycił się za piersi. Dławił się własną śliną.

- Ttttto chyyyba dobraaaaa umowa? Zabijesz jeźdźca, a potheemm dostaniesz opiekę.

- Dużo dajesz. Za dużo jak na kasztelana Janusza Ligęzę.

- Nie mam wyboru. Tyyylko tyyy. Tyy wyszedłeś żywy z walki z nim. Inniii... Wynajmowałem innych, Roźniatowskiego, Dębickich... Wszyscy zginęli... Tylko tyyy możesz go pokonać. I wiem, że ty i Ewa...

- Chcę to na piśmie.

- Dostaaaniesz... zaraz każę wpisać do ksiąg grodzkich.

- Chcę wiedzieć, gdzie pochowano von Thurna.

- Thoooo pod Narużnowiczami... Tam... Znajdź rozstaje. Nie idź w prawo ani w lewo, ale na południe, prosto, gdzie nie prowadzi żadna droga. Dojedziesz do lasu, do jaru. W jarze kaplica z czasów morowego powietrza. Tam moi ludzie zabili rajtarów i zostawili ciała.

- Czy pochowali Chrystiana w zbroi?

- Odejdźcie! - krzyknął kasztelan. - Odejdźcie! Czego tu stoicie. Ja nie, ja nie... Jezus! Mario!

Dydyński wyszedł z komnaty. Medyk i dwaj rękodajni rzucili się ku Ligęzie. Jeden sprawdził, czy nikt nie patrzy, po czym zdarł z ręki starca pierścień z rubinem.

Pan Jacek wyszedł na galerię i ruszył schodami w górę, do sali z obrazami.

Portret braci Ligęzów wisiał na swoim miejscu. Dydyński spojrział na herb z czterema liliami, a potem zdjął z haków ciężkie malowidło. Oglądał je chwilę, wreszcie rzucił na posadzkę. Drewniane ramy pękły od razu. Dydyński oderwał je od płótna. Tak jak przypuszczał, prawy brzeg obrazu nie został przycięty, ale zgnieciony i wsunięty pod drewno.

Rozprostował płótno.

Nieznany flamandzki malarz namalował trzech mężczyzn. Był tam Samuel, Aleksander i... Ten trzeci. Chrystian von Thurn.

Wysoki młodzieniec w rajtarskiej zbroi. Bez hełmu. Spod długich ciemnych włosów patrzyły bystre oczy uważnie i spokojnie. Jednak Dydyński nie widział jego twarzy. Ktoś zdarł farbę poniżej oczu von Thurna, jakby zdrapał ją paznokciem, tak aby nikt nie mógł rozpoznać rysów młodzieńca.

- Panie Jacku!

Odwrócił się. Ewa w długiej sukni. Nie przykryła czarnych włosów woalką ani czarną chustą.

- Byłam u ojca, zapisał cię opiekunem... Ja... Czy obronisz mnie?

Dydyński milczał.

- Panie Jacku. Miłuję cię od lat, od kiedy pierwszy raz przyjechałeś do mego ojca... Czy ty chcesz mnie?

Portret upadł ze stukotem na posadzkę. A potem Dydyński porwał w ramiona Ewę. Jej usta od razu odnalazły jego wargi, jej język wysliznął się z nich szybko. Dłonie Dydyńskiego zacisnęły się na wąskiej tali, gładziły po plecach, wcisnęły pod suknie, pod fortugały. Przesunęła mu ręką po twarzy, poczuł jej paznokcie, jak szpony gotowe poszarpać skórę i oszpecić na wieki, gdyby tylko... Gdyby tylko nie kochała go tak bardzo.

- Tak - wydyszała w przerwach pomiędzy pocałunkami - zabijesz go, mój panie. A potem weźmiesz mnie. I zamki, i dwory, i włości, i starostwa Ligęzy... Tylko go zniszcz, proszę...

- Dałem słowo, że będzie trupem!

Całował ją po szyi, rozchylił dekol, doszedł do piersi.

- Jegomość, hej jegomość! - zabrzmiało za plecami. Dydyński oderwał się od pięknego ciała Ewy.

W drzwiach stał Jasiak z wyrazem zdumienia i przerażenia na twarzy.

- Ty chłopski synu! - krzyknęła kasztelanka. - Nos ci wydrę, a oczy każę wykapać! Pod pręgierz postawię! Po coś przylazł!

- Jegomość... Koń osiodłany, zbroja gotowa...

- Muszę iść - wyszeptał Dydyński. - Ale wróć! Wróć po ciebie!

- Będę czekała... Czekala na ciebie, mój panie...

Dydyński poczuł, że w całym jego ciele wzbiera gorączka. Pragnął kasztelanki. W tej chwili zabiłby wszystkich, podpalił cały świat, zdobył wszystkie zamki, byleby dostać jeszcze jeden pocałunek...

- Miłuję cię! - krzyknął. Patrzyła oczyma pełnymi łez. A potem zdjęła z szyi krzyżyk i podała mu.

- Przyniesie ci szczęście.

Słuchała jego kroków na schodach. Potem podniosła portret z podłogi i cisnęła go w płomień na palenisku.

- Idź do piekła! - szepnęła.

Klasnęła w dłonie i uśmiechnęła się szeroko, gdy skrzypnęły otwierane drzwi.

KAPLICA CZASZEK

Jar, którym jechali Dydyński i Jasiak, stawał się coraz bardziej zarośnięty i niedostępny. Przebyli już ze trzy mile od rozstajów, a wciąż nie było kapliczki. Konie chrapały trwożliwie przeskakując nad zwalonymi pniami, czasem grzęzły w trzęsawisku, potykały się o skały i kamienie. Nietknięty zwykłą ludzką stopą bór rozpościerał się wokół jeźdźców, jeden z dzikich lasów na stokach gór Rusi Czerwonej. Mieszkały tu zwierzęta, zaglądali zdziczali, niebezpieczni smolarze lub opryszkowie. Po wsiach krążyły wieści o wilkołakach i upiorach nawiedzających te bory, a po dworach opowieści o łowionych na polowaniach zamiast wilków i niedźwiedzi wilczych dzieciach - o porośniętych sierścią potworach z wielkimi, krzywymi kłami.

Zagłębiali się w gąszcz... Dydyński rozważał już, czy aby kasztelan nie oszukał, gdy nagle gałęzie rozstały się. Na krańcu dużej polany stała szeroka, niska budowla ze stromym dachem. Konie parsknęły, boczyły się, nie chciały iść dalej. Dydyński zeskoczył, poprowadził wierzchowca za uzdę. Teraz dopiero zobaczył, że ze szczytu dachu kaplicy szczyrzyły zęby ludzkie czaszki... Ściany i dach tworzyły szare albo żółte, nadgniłe i połamane pizczele... Kiedyś, gdy sto albo dwieście lat wcześniej grasowała na tych terenach zaraza, budowano takie właśnie świątynie.

Jasiak przeżegnał się, a Jacek przywiązał konia do drzewa i z dobytą szablą stanął w drzwiach. Na kamiennej podłodze leżały szkielety. Przegniłe łachmany i pordzewiałe kawałki zbroi pomieszane z gnatami i pizczelami spoczywały pod stopami Dydyńskiego między nim a starym ołtarzem na końcu pomieszczenia. Pan Jacek dostrzegł tam nikłe światełko.

Wszedł do środka. Wyobrażał sobie, jak ciśnięto tu pokrwawione ciała. Widział, jak osadzone na sztorc kosy spadają na głowy skrępowanych rajtarów. Nawet po latach na kamieniu pozostały brunatne ślady krwi.

Stąpił po chrzęszczących szkieletach, potracił czaszkę, która potoczyła się ze stukiem. Dotarł do ołtarza. Kamienna płyta była popękana, ścisnęły ją w uścisku korzenie drzew, które przebiły się przez posadzkę, objęły ją brutalnie i zdławiły, potrzaskały na kawały.

Przy ołtarzu płonęła świeca. Dydyński rozglądał się, szukał ciała w czarnej zbroi, ale nic nie znalazł. Nigdzie nie dostrzegł hełmu ani resztek czarnego płaszcza. Tutaj nie było szczątków Chrystiana.

- Jegomość, jegomość - wyszeptał Jasiak. - Tę świecę ludzie zapalili, żeby złe duchy i diabły odpędzić.

- Czy twój ojciec był tutaj, kiedy pobito kompanię von Thurna?

- To nie było tutaj. Chłopi i hajducy pana Ligęzy dopadli ich pod naszym zaściankiem... Pod Wieruszowa... Mój ojciec pomagał kasztelanowi uczynić zasadzkę.

- Dobrze. Idź stąd!

- Mości panie... Czy ty musisz go zabić?

- Dałem słowo Ligęzie.

- To okrutnik bez czci i sumienia! - wybuchnął Jasiak. - Dlaczego...

- Ale ja jestem Dydyński, Zawsze dotrzymuję słowa! Uciekaj! Nie chcę, by ci coś się stało...

- Panie...

Jednym szybkim ruchem pan Jacek ciął szablą. Odcięty knot od świecy spadł na ołtarz. Przez chwilę płonął, migotał, w końcu zgasł.

- To rozkaz! Idź!

Jasiak rozejrzał się, Dydyński ujrzał łzy w jego oczach. - Już! Ruszaj się!

Jasiak pobiegł do wyjścia. Dydyński usłyszał oddalający się stukot jego butów, potem rzenie konia i ciszę.

Długo stał obok ołtarza z obnażoną szablą. W końcu odpiął pochwę i cisnął ją na posadzkę, zasadził za pas poły żupana. Czekał.

Łoskot ciężkich kopyt zbliżał się z dala. Ogromny koń sadził długimi susami poprzez chaszczę. Zarżał głośno, raz, drugi, trzeci. Potem... Potem Dydyński usłyszał brzęk metalu, Łoskot ciężkich kroków.

Ciężki oddech. I świst pałasza wyciąganego z pochwy.

Czekał odwrócony do wejścia.

Brzęk.

Łoskot.

Brzęk.

Ciężki oddech coraz bliżej. Brzęk czarnej zbroi! Zamach!

Ponury świst pałasza!

Przyklęk, unik, cięcie, blok, zwód, furkot płaszcza, pisk szabli husarskiej!

Dydyński uniknął cięcia pałaszem, które miało odrąbać mu głowę. Przysiadł, obrócił się w piruecie, ciął. Czarny upiór zblokował cios zastawą klingi, wyprowadził szerokie cięcie z łokcia, potem krzyżowe uderzenie z ramienia.

Błysk! Zwód! Cięcie! Odbicie!

Kości chrzęściły pod ich butami. Ostrza migwały jak błyskawica. Czarny rycerz ciął wlew, chwytając oburącz rękojeść pałasza. Dydyński uchylił się, przetoczył po ołtarzu. Pałasz uderzył w kamień, odłupał z hukiem potężny głaz z Lubiczem, zwałił go na posadzkę.

Walczyli jak równy z równym, Każdemu cięciu odpowiadała zastawa, każdemu pchnięciu zbiecie.

Cięcie, zastawa, odpowiedź!

Cios, zwód, unik, pchnięcie!

Kolumna z kości rozpadła się z hukiem, gdy Dydyński padł na nią odepchnięty przez przeciwnika. Szybko przeturlał się po posadzce. Czarny rycerz ciął pałaszem, chybił. Kamienna płyta pękła na kawałki.

Dydyński odepchnął przeciwnika nogami, poderwał się z posadzki. Polska szabla zazgrzytała na pancerzu, postument zakołysał się, tracony przez rajtara, i rozpadł w gruzy, wzniesając obłok pyłu. Zawaliła się zaraz część ściany z kości, wpuszczając więcej światła do kaplicy.

Czarny rycerz zachwiał się. Szabla dwa razy zabrzęczała na jego pancerzu. Dydyński zwinął się jak żmija i ciął go w nogę, tuż poniżej kolana. Czarny cofnął się, a potem wypuścił pałasz i rzucił się na Dydyńskiego. Chwytał szlachezca pancernymi rękawicami za gardło, a potem cisnął w tył, chcąc roztrzaskać mu głowę o kamienny postument

Dydyński szybko porzucił szablę, sięgnął prawą ręką do boku, a potem, padając, z rozmachem wbił kindżał ukośnie, pod pachę rajtara, tam, gdzie nie chroniła go zbroja.

Czarny rycerz zacharczał. Dydyński uderzył głową o kamień, zobaczył gwiazdy, poczuł słony smak krwi. Osunęli się na posadzkę. Rajtar upadł na bok. Charczał, wył, rzeził. Usiłował wstać, ale ostatecznie przewrócił się na plecy, poruszył jeszcze i zamarł.

Dydyński poderwał się. Ciemne plamy przesłaniały mu wzrok. Krew z rozbitej głowy sączyła się za kołnierz żupana. Chwiejąc się podszedł do czarnego jeźdźca.

Koniec... Nareszcie koniec, Ewa... Spokojna.

Będzie ją miał. Będzie miał wszystko... Jakże jej pragnął w tej chwili.

Pochylił się nad ciałem okrytym czarną, szmelcowaną zbroją z liliami. Teraz zobaczy jego twarz.

Ostrożnie dotknął przyłbicy. Czyje oblicze ukrywało się pod nią... Kto to był? Wieruszowski? Ligeza? Zaręba? Jasiek?

Ktoś inny...

Odsunął przyłbicę i zamarł. Spod ciężkiego hełmu patrzyło nań dwoje martwych, błękitnych oczu...

Nie było pod nimi twarzy. Oblicze tego człowieka oszepecono w okrutnych mękach. Nie miał nosa, resztki warg nie osłaniały pożółkłych, wyszczerbionych zębów.

Dlatego ukrywał twarz!

Z boku, pod pachą rozszerzała się kałuża krwi... Portret! Oblicze odarte z farby.

Opuścił przyłbicę na pokaleczone oblicze. Kto i kiedy oszpecił tak tego człowieka? Za co?

Sięgnął do sakiewki martwego. Nie było w niej złota, tylko jakoweś papiery. List złożony we czworo, zapieczętowany Lubiczem Ligezów.

Wielmożny i umiłowany mości panie bracie!

Kocham cię i nie mogę przestać myśleć o tobie, od kiedy cię zobaczyłam, gdyś przyjeżdżał w odwiedziny do ojca. Wiem, że mój ojciec podał ci czarną polewkę, ale rzeknę ci jedno - nic to!

Uciekniemy tak, jak chciałeś, na Śląsk. Stań pojutrze w południe pod krzyżem na rozstajach, przy wsi Narużnowicze. Tam się spotkamy, mój miły. Czekaj na mnie, proszę...

Ewa z Ligezów

Papier wypadł z ręki Dydyńskiego. Zatoczył się, usiadł obok czarnego rycerza, wsparł się o zbroję. Siedzieli tak pospołu - martwy i żywy, połączeni straszną prawdą.

Zmierchało już, gdy ułożył Chrystiana von Thurna w kaplicy na wieczny spoczynek, wsiadł na konia i ruszył przed siebie.

CZARNY JEŹDZIEC

Padł strzał z muszkietu. Koń Dydyńskiego zwałił się z kwikiem na ziemię. Jeździec upadł, przywalony jego ciężarem.

Cztery postacie przyskoczyły bliżej. Wystarczył celny cios kolbą rusznicy, by Dydyński opadł bezwładnie. Skrępowali go i powlekli pod drzewo. Oparli o pień.

Dydyński przytomniał powoli. Otworzył oczy. Pachołkowie. Czterej. W barwach Ligęzów.

Najstarszy, z sumiastym wąsem i twarzą poznaczoną bliznami, pochylił się nad szlachcicem.

- Przygotuj się na śmierć, kawalerze. Pacierz zmów.

- Chyba żeś heretyk! - dodał drugi.

- I tak zginę - mruknął Dydyński. - Powiedzże chociaż, kto kazał mnie zabić.

Popatrzyli na siebie.

- Jak to kto? Mości panna kasztelanka. Jej rozkazywać, a nam słuchać.

- Usypimy ci wysoki kurhan. I nakryjemy kamieniami.

- Nie wstaniesz z grobu jak czarny jeździec.

Najstarszy poderwał Dydyńskiego w górę. Pozostali podnieśli rusznice.

Strzały rozbrzmiały głucho. Jeden z pachołków zwałił się na bok, znieruchomiał. Drugi padł na wznak, szamotał się w drgawkach.

Dwa cienie wyskoczyły zza krzaków. Stary hajduk porwał za pistolet, lecz nim wymierzył, Dydyński, choć związany, podciął mu nogi. Kula gwizdnęła obok pana Jacka, odłupała z drzewa kawał kory. W chwilę po tym czekan Jaśka rozwalił łeb pachołkowi. Ostatni z wrogów chwycił za szablę, zwarł się z Wieruszem, a potem padł przeszyty szablą, jęczał jeszcze chwilę i znieruchomiał.

- W ostatniej chwili! W ostatniej! - wydyszał z trudem Jasiek.

Wierusz i jego syn podźwignęli Dydyńskiego z ziemi. Przecięli więzy. Stary wlał w usta szlachcica łyk gorzałki.

- Stokrotne dzięki, panie Wieruszowski - wyszeptał Dydyński. - Lepiej.

Długo siedzieli, patrząc na ciała zabitych, na krew i leżące na ziemi arkebuzy. W końcu Jacek odezwał się pierwszy.

- Zabiłem go.

- Wiem. Nie miał wiele przed sobą. Sześć lat temu skończyło się jego życie. Przyjechał pod kapliczkę z kompanią. Tam czekali ludzie Ligęzy. W zasadzkę zwabiła go kasztelanka... Panna Ewa. Kazała go oszpecić. To dlatego ukrywał twarz.

- Pomagałeś mu?

- Dlaczego nie? Ale nie zabijałem.

- Skąd przybył?

- Przyjechał pół roku temu. Mówił, że śmierć gorsza od takiego życia.

- Chciał zemsty?

- Nic innego mu nie zostało. Co teraz, panie Dydyński? Pójdziemy w lasy?

- Nie - Jacek uśmiechnął się - jeszcze nie wyrównałem rachunków. Pojedziemy.

- Ale dokąd?

CASTRUM DOLORIS

Płomienie zahuczały, objęły cały dach kościoła, trzasnęły walące się belki, powiało gorącem, grozą. Ogromna luna pożaru oświetliła całe miasto.

Czarny rycerz i jeździec na białym koniu stali wśród dymu i płomieni. Konie rżały przerażone bliskością pożaru, wyrzywały się do ucieczki.

- Dokąd, czarny diable?! - zakrzyknął Zaklika, przytrzymując stającego dęba konia. - Puść pannę! Zostaw ją w spokoju! Ja nie jestem Dydyński... On był głupcem!

- Panie Zaklika, miłuję cię! - wykrzyknęła kasztelanka. - Zabij go! Zabij go, proszę - zaszlochała. - Ja nie...

Jeździec uderzył ją pancerną rękawicą w skroń. Głowa Ewy zwiśla bezwładnie.

Zaklika krzyknął w furii i ukłuł konia ostrogami. Pędził wprost na czarnego jeźdźca. Wpadł na rajtara jak burza. Jego szabla świsnęła w powietrzu zadając morderczy cios.

Brzęk stali...

Ostrze odskoczyło, sparowane. Świst szabli.

Konie odskoczyły od siebie. Zaklika krzyknął, gdy szabla czarnego jeźdźca chlasnęła go po rękę.

Chwycił się za przedramię, wymacał krew,

- Poniechaj mnie - odezwał się jeździec zimnym, lodowatym głosem - a będziesz żyć.

- To puść ją! Uwolnij ją, sokolicę moją najdroższą!

- Nie, panie Zaklika. Ona jest moja!

Szlachcic poderwał konia do biegu. Kopyta załomotały na kamieniach. Mocno uderzył konia ostrogami. Wierzchowce minęły się o włos. Szabla Zakliki rozminęła się z ostrzem jeźdźca...

Husarski brzeszczot przeciął ogniwa kolczugi jak szmatę, zazgrzytał na kościach.

Zaklika wstrzymał konia, spojrzął z niedowierzaniem na krwawiący bok, a potem wypuścił szablę i jął osuwać się po grzbiecie konia. Rumak wierzgnął, zrzucił go, popędził w stronę bramy.

Zaklika wsparł się na rękach. Chciał wstać, ale nie starczyło mu sił.

- Umieram! - krzyknął. Odwrócił się w stronę jeźdźca.

- I tak umrę - wyjęczał. - Więc pokaż mi swoje oblicze. Chcę wiedzieć, kim jesteś.

Jeździec zawahał się. Ale uniósł przyłbicę. Blask pożaru oświetlił jego młodą, śniadą twarz poznaną kilkoma bliznami. Twarz Jacka Dydyńskiego.

Zaklika zajęczał.

- Dałeś słowo - wycharczał. - Dałeś słowo Ligęzie, że zabijesz jeźdźca.

- I dotrzymałem. A nie obiecywałem nic więcej poza jego śmiercią...

- Dlaczego... Miłuję Ewę... Nikt...

- Śpij - szepnął Dydyński. - Śpij, panie Zaklika. I nie myśl o niej.

Zaklika padł na plecy, rozłożył ramiona i tak już pozostał w kałuży krwi, pod boczną furtą płonącego kościoła.

Czarny jeździec ruszył przed siebie. Daleko w noc poniósł się złowieszczy tętent kopyt i zatrważające chrapanie karego wierzchowca. Pędził wprost do piekła, aby oddać diabłu to, co od dawna należało do niego.

EX ORIENTE LUX

Siedzieli na dywanie w izbie, w domu tureckiego kupca Selameta Ułana w Kamieńcu. Blask płomieni tańczył po ścianach i belowanym suficie, wydobywał z mroku zasępioną twarz Dydyńskiego i chytne oblicze Selameta ozdobione długą, rzadką bródką.

Kupiec wyjął z ust cybuch wodnej fajki. Zastanawiał się. Cena, której żądał ten Lach, była wygórowana. Dziesięć tysięcy czerwonych stanowiło prawdziwy majątek. Jednak branka, którą oferował, warta była i trzy razy tyle. Zwłaszcza gdyby sprzedał ją berlejbejowi oczakowskiemu. Chociaż nie, to niepewny interes. Lepiej byłoby wystawić ją na bazarze w Stambule, choć droga daleka i niebezpieczna. A może jednak w Oczakowie? Nie! Od kiedy orda budziacka zapuściła się na Podole, ceny młodych niewolnic znacznie spadły. To nie byłby tak dobry interes jak w Stambule.

- Osiem tysięcy - warknął - i ani talara więcej, giaurze! Albo grzbiet ci batogami osmagam!

Dydyński uśmiechnął się. Groźby były nieodłączną częścią targów z Selametem.

- Bacz, co mówisz, kupcze. Azali znajdziesz na Podolu kogoś, kto ośmieliłby się podnieść na mnie rękę?! A jak sam spróbujesz, to będziesz szukał swej dłoni na tym oto dywanie.

Turek sapnął. Pociągnął nieco wonnego dymu.

- Zgoda! Ale pieniądze wypłacę za dwa dni. Nie mam tu takiej sumy.

- Zapłacisz tutaj i teraz. A pieniądze masz w tej skrzyni.

- Dobrze. Dobrze - uśmiechnął się Selamet. Przybili ręce na zgodę. Kupiec klasnął i kazał słudze przynieść świetnej arabskiej herbaty z ziołami. Znak, że dobili targu.

EPILOG

W dwa dni po nieszczęsnym pogrzebie, w którym zgorzał doszczętnie kościół sidorowski i zwłoki pana kasztelana, do miasta przyjechał znany rycerz, były żołnierz lisowski Jacek Dydyński herbu Nałęcz. Przywiózł i złożył na dymiących zgliszczach czarną zbroję okrutnego jeźdźca, który zabił wcześniej synów starego kasztelana i porwał do piekła pannę kasztelanekę Ewę. Wieść o tym, iż młody

rycerz pokonał czarta, rozeszła się lotem błyskawicy po całym województwie. W Podhajcach i Sidorowie bito w dzwony, a księża odprawiali dziękczynne nabożeństwa za duszę pana Dydyńskiego. Ksiądz przeor Żabczyński w Podhajcach wygłosił nawet długą mowę dziękczynną, w której nazwał pana Jacka defensorem chrześcijańskiej wiary ojców i synem nieodrodnym Korony Polskiej katolickiej, a także rycerzem pełnym wszelakich cnót. Wprawdzie złośliwi gadali, że wcześniej na rycerzu owym ciążyły banicje i infamie i że pan Dydyński będąc lisowczykiem, łupił klasztory i nakładał kontrybucję na dobra duchowne. Wiadomo jednak, że gdziekolwiek znajdzie się jeden świątobliwy mąż, tedy go zaraz heretyckie, plugawe języki obmawiać poczynają.

Wkrótce o wyczynach Dydyńskiego poczęły krążyć legendy, jak to czarta za rogi chwycił i z kościoła wyrzucił, a po latach - jak to kasztelanę, co dziewictwo Najświętszej Maryi Pannie poświęciła, przed diabłem obronił. Najwięcej opowiadał o nim imć pan Artur z Zabierzowa Machlowski, naoczny jakoby świadek najścia diabła pod postacią rajtara-heretyka na kościół w Sidorowie. Niektórzy panowie bracia zadawali kłam tym słowom i twierdzili, iż pan Machlowski, pijanica i warchoł znany, całe te wydarzenia w karczmie przespał i zna je tylko z opowieści innych.

A cóż na to pan Dydyński? Jako prawdziwie niepokalany szlachcic polski, obrońca wiary chrześcijańskiej świętej katolickiej i rycerz spod kresowych stanic, powołując się na zapisy w księgach, wedle których Ligęza ustanowił go opiekunem panny Ewy, zagarnął szybko obszerne włości kasztelana, w czym pomagał mu jego zaufany klient szlachetka Wieruszowski. Pan Jacek toczył potem długie procesy i wojny z krewnymi i spadkobiercami Ligęzów, napadał na wsie i folwarki, zajeżdżał dobra sąsiadów, a woźnym, którzy przychodzili do niego z pozwami, kazał zjadać pisma. Będąc jednak prawdziwie miłosiernym katolikiem, pozwalał im odetchnąć pomiędzy zjedzeniem jednego pozwu a drugiego, choć nie za długo.

Ostatecznie pan Dydyński osiadł niczym lew na zamkach i starostwach możnego rodu Ligęzów i siedział na nich, póki śmierć nie zasnuła mu oczu bielmem.

Warszawa-Tomaszówka. październik-listopad 2001

Jacek L. Komuda